Rysio. Wspomnienie o Ryszardzie Kapuścińskim.



Imieniny Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, Warszawa, II poł. lat

80., od lewej: prof. Jerzy Rutkiewicz, Ryszard Kapusciński, prof. Marek Drozdowski, fot. arch. A. Z.-B.

W dziesiątą rocznicę śmierci.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Melchior Wańkowicz opowiedział mi, że poznał Ryszarda Kapuścińskiego w mieszkaniu na Puławskiej 10, że przyprowadziła go i przedstawiła Krystyna Goldbergowa, opiekunka reporterów i znawczyni gatunku reportażu.

Opowiedział mi przy tym zabawną anegdotę, którą zupełnie inaczej przedstawiła Goldbergowa w dzień pogrzebu Kapuścińskiego, gdy czytano jego wiersze w „Gazecie Wyborczej". Nie chcę tej anegdoty teraz prostować. Rysiowi kilka lat temu powtórzyłam to, co opowiedział mi Wańkowicz, a teraz zatelefonowałam do Pani Krystyny, że znam inną wersję, opowiedzianą mi przez pisarza. Zostawiłyśmy ten temat „na boku".

W archiwum Wańkowicza zachował się numer "Nowych Książek" (Nr 3, 477, 15 luty 1970), w dużej mierze poświęcony Kapuścińskiemu, z jego fotografią na okładce. W tymże numerze Wańkowicz tak napisał o dwóch książkach Kapuścińskiego

(str.177):

> Książka Ryszarda Kapuścińskiego pt. „Gdyby cała Afryka…” to wytrawny rezultat wieloletniego pobytu w Afryce. (…) Walor książki polega na tym, że autor zna Afrykę w głąb. Stąd lekkość i celność analogii, stąd szeroki wachlarz wiadomości zarówno o rozrzutności władców połączonej z prymitywizmem, jak i o zabobonach ich poddanych. Kapuściński nigdzie nie da się za daleko zapędzić w anegdoty, choć umie się nimi posiłkować. Ani nigdzie nie przybiera tonu łaskawej pobłażliwości białego człowieka.
>
> Książka „Kirgiz schodzi z konia”…… Ileż Kapuściński nałapał zapachów ciągnących z Gruzji, Armenii, Azerbejdżanu, Turkmenii, Tadżykistanu, Buchary! Potwierdza swoją książką, że dobry reportaż potrzebuje również artystycznych witamin.

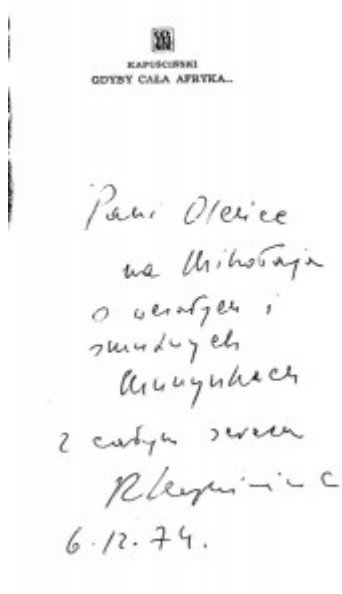
KAPUŚCIŃSKI
GDYBY CAŁA AFRYKA...

Pani Olenice
na Mikołaja
o wesołych i
smutnych
Mnuynkach
z całym sercem
R Kapuściński
6.12.74.

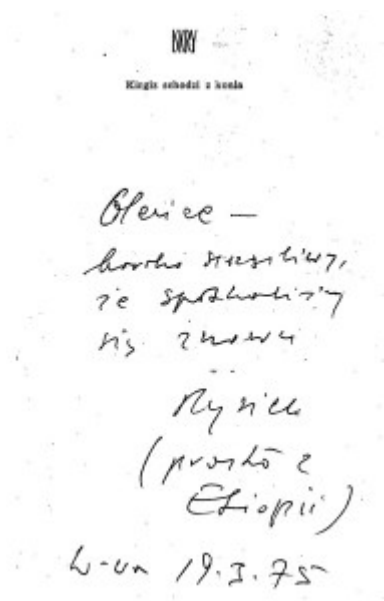
Kingis schodzi z konia

Olenice —
bardzo szczęśliwy,
że spotkaliśmy
się znowu
Rysiek
(prosto z
Etiopii)
W-wa 19.3.75

Ryszard Kapuściński po śmierci Melchiora Wańkowicza napisał w warszawskiej “Kulturze” (22 września 1974):

> Kiedyś Wańkowicz napisał o sobie pół żartem, pół serio, że jest „pierwszym pisarzem polskim pracującym na zamówienie społeczne”. Był mistrzem reportażu, a reportaż z samej swojej istoty jest formą odpowiadania na zamówienie

> społeczne. Najlepszym przykładem jest jego przedwojenna jeszcze rzecz, o polskim wysiłku gospodarczym. „Sztafeta” to pierwszy w naszej literaturze wielki reportaż – produkcyjniak, który tak upowszechnił się w Polsce po wojnie i stanowi do dziś ważny nurt literatury faktu. U początków tego nurtu stoi wańkowiczowska „Sztafeta”. Wańkowicz zachęca przyszłych reporterów: nie bójcie się cyfr, to wszystko jest ważne, to ma swoją wymowę, ma znaczenie i dla tych, którzy tworzą kraj i dla tych, którzy o tym czytają. I żeby zachęcić najlepiej, bo własnym przykładem, gromadzi w „Sztafecie” tysiące informacji – ile ziemi wykopano pod fundamenty, ile wagonów cementu przewieziono, ile wyprodukujemy stali, do czego ta stal będzie użyta. Tony, hektary, metry, ceny – wszystko dokładnie wyliczone. Ale w tej powodzi cyfr, wyliczeń, statystyk, jest zawsze miejsce na żywą scenkę, na głos ludzki, na las, na człowieka i na tego zająca w Stalowej Woli, który „sadzi wyrwą między rosnącymi blokami”.

Ryszarda Kapuścińskiego poznałam u Zenony Macużanki, ówczesnej redaktor naczelnej „Nowych Książek”, niebawem po śmierci Wańkowicza, jesienią 1974 roku. Był znany jako „doskonały reporter”, ale nie był jeszcze autorem „Cesarza”, pierwszej książki, która zyskała szczególną uwagę i uznanie.

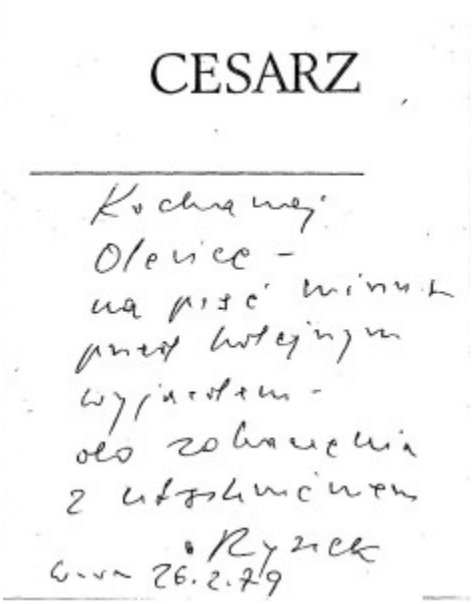
CESARZ

Kochanej
Olenice –
na pięć minut
przed kolejnym
wyjazdem –
do zobaczenia
z utęsknieniem
Ryszek
Warsz. 26.2.79

Zwróciłam uwagę, jak serdecznie, delikatnie się odnosił do innych ludzi i do mnie, wtedy bardzo młodej, świeżo po studiach osoby. W tym okresie byłam swoistą, o ile tak mogę napisać, sensacją. Kilka tygodni wcześniej zmarł wielki pisarz, i jak się dowiedziano, w testamencie zapisał młodziutkiej asystentce swoje archiwum. Wcześniej zadedykował mi drugi tom „Karafki La Fontaine'a" (*.....bez której oddanego współpracownictwa, byłaby to jeszcze gorsza książka*, jak zabawnie napisał).

Niektórzy byli mnie ciekawi, zapraszali na spotkania, przy okazji wypytywano o Wańkowicza: jaki był "na co dzień". Nie chciano słuchać o pomniku, chciano słuchać o człowieku.

Odpowiadając na to zainteresowanie, zachęcona przez przyjaciół (Michała i Krystynę Radgowskich), także wydawcę (Andrzeja Kurza z Wyd. Literackiego) zaczęłam pisać książkę. Chciałam

utrwalić chwile, które szybko zacierają się w pamięci. Nie zastanawiałam się, czy burzę jakiś mit, czy też tworzę nowy, nie chodziło mi o syntezę jednego życia, lecz raczej o ukazanie wielu dni powszednich z ostatnich lat wielkiego pisarza. Książka stała się zapisem wydarzeń, anegdot z życia w bliskości pisarza. Kiedy zastanawiałam się jak książkę nazwać, zapamiętałam radę właśnie Ryszarda Kapuścińskiego. – Musisz umieścić w tytule nazwisko Wańkowicza. Tytuł powinien być krótki, zatem dodaj jeszcze jedno słowo, na przykład: obok, blisko. Lepiej brzmi: blisko. I tak Kapuścińskiemu zawdzięczam tytuł swojej pierwszej książki. ”Blisko Wańkowicza” wydało krakowskie Wydawnictwo Literackie w trzech wydaniach i ogromnym nakładzie. Do dzisiaj wielu czytelników pamięta moją pierwszą książkę.

Kapuściński mówił mi, że będąc polonistką, nawet z doktoratem, trudno jest nadążyć za literaturą polską i światową. Dobrze więc, gdy się ma temat wybrany, na przykład pisarza, na którego twórczości się dobrze zna.

Po latach, kiedy w 2005 roku mówiono o jego kandydaturze do Nobla, Kapuściński w portrecie/wywiadzie Bartosza Marca dla „Rzeczpospolitej” stwierdził, że spośród polskich reporterów za swoich mistrzów uważa Melchiora Wańkowicza i Ksawerego Pruszyńskiego. Powiedział także:

> Aleksandra Ziółkowska-Bohem, sekretarka Wańkowicza, zapamiętała jego rady: powinno się mieć swoją pasję, znaleźć dziedzinę, w której jest się ekspertem i o której chce się wiedzieć coraz więcej. (Przyp. Bartosz Marzec, ZARYZYKUJ WSZYSTKO, Plus Minus, RZECZPOSPOLITA, Nr 236, 10 sierpnia 2005, str. 7).

Na orzeczenie Nagrody Nobla czekałam, zdając sobie sprawę, jak uhonorowałoby to także literaturę faktu. Zmienia się świat, i zmienia się Polska, pamiętam, jak Kapuściński powiedział mi w początkowych latach 70., że odmówiono mu przynależności do ówczesnego Związku Literatów. Niedługo później każdy związek twórczy w Polsce i na świecie będzie dumny, że wielki reporter zechce być jego członkiem.

Przyjaźń z Ryszardem Kapuścińskim rozwinęła się i stała się jedną z cenniejszych i ładniejszych, jaką mi dobry Los ofiarował. Przetrwała ponad 30 lat, aż do mojego przyjazdu do Polski na stypendium Fulbrighta, kiedy mogłam osobiście uczestniczyć w jego pogrzebie.

Rysio, przez te wiele lat, do mojego wyjazdu do Stanów Zjednoczonych, przychodził w końcu lutego na imieniny. W czasie dość licznego zgromadzenia mój mały wtedy synek, szedł do swojego pokoju i siedział sam. Tam właśnie przychodził do

niego Rysio, jeden jedyny, który dostrzegł swoistą izolację i nieśmiałość dziecka. W pokoju Tomka, na ścianie wisiała duża mapa świata. Rysio mówił mu, że marzenia o podróżach można spełnić, że można pojechać wszędzie, na przykład do Afryki.

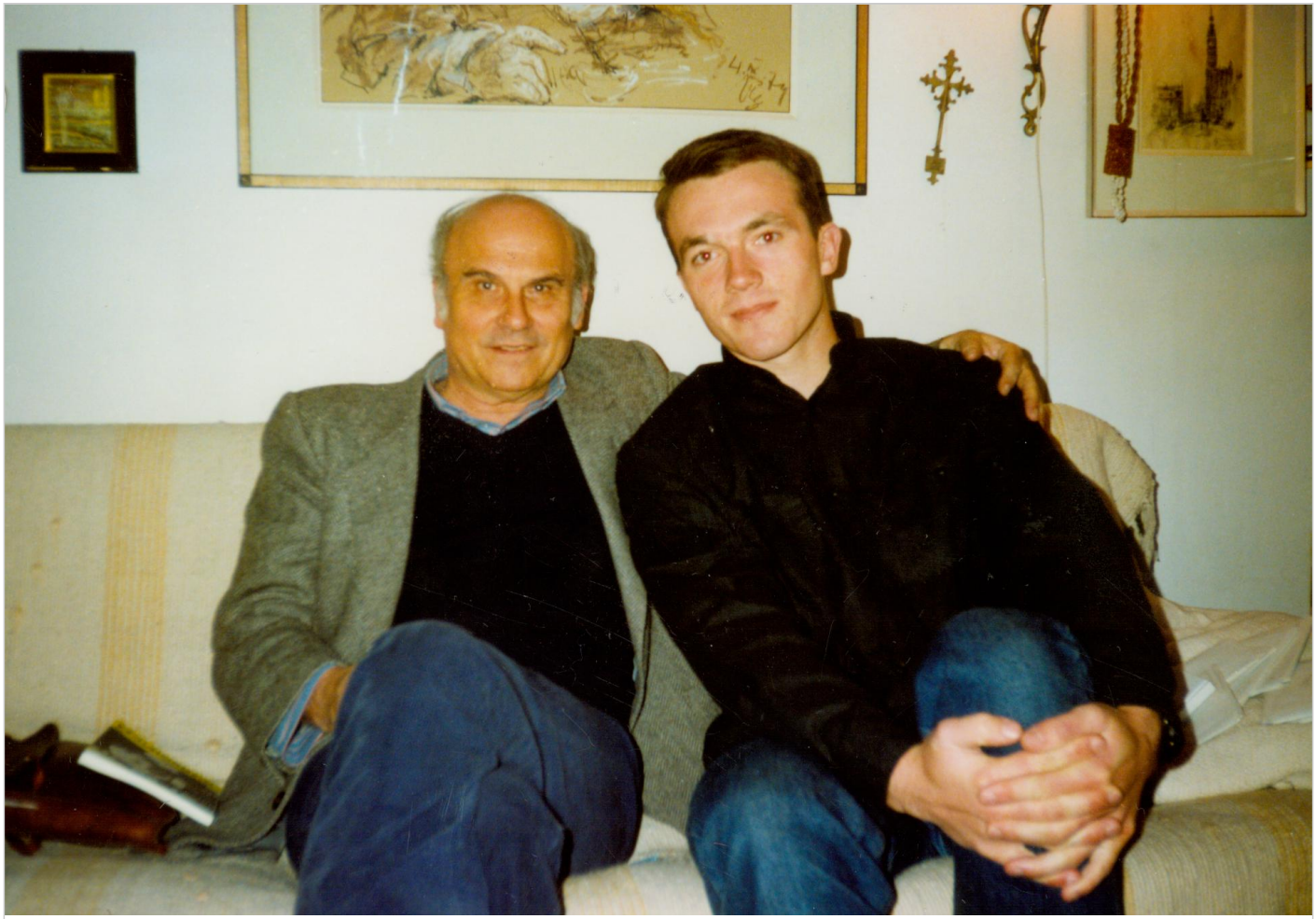

Ryszard Kapusciński wraz z synem Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, Tomaszem Tomczykiem, Warszawa, 7.11.1990 rok, fot. arch. A.Z.-B.

Tomek jest teraz dziennikarzem, podróżnikiem, właścicielem własnego pisma na Karaibach. W Afryce był kilka razy, pracę

magisterską pisał o rozbudowującej się kolei w Erytrei, w „Polityce” wydrukował duży reportaż „Sudańska fabryka głodu”.

Rysio pokazywał małemu Tomkowi swój…”bokserski nos”, mówiąc, że mu usunięto chrząstkę, gdyż w młodości uprawiał boks. (Dorastający Tomek także między innymi sportami zajął się boksem).

Jesienią 1975 roku pożyczyłam Rysiowi niedużą walizeczkową maszynę do pisania. Była to metalowa szwajcarska maszyna marki „Hermes”. Miał jakiś kłopot ze swoją, a to była słynna maszyna Wańkowicza, o której pisarz pisał, że przeszedł Dniestr, niosąc ją wysoko w rękach. Powiedziałam, aby mu przyniosła szczęście. Rysio zwrócił mi ją po powrocie z Angoli. Mam tę maszynę u siebie w warszawskim mieszkaniu.

Żona Ryszarda, Alicja Kapuścińska, z zawodu lekarz pediatra, była zaprzyjaźniona z lekarką mojego Tomka, dr Reginą Wańkowicz-Ponurską (kuzynką Wańkowicza). Spotykałyśmy się na wystawie fotografii Kapuścińskiego, a także u mnie na warszawskim Mokotowie przy ulicy Kmicica. Alicja przychodziła na moje spotkania autorskie. Miałam także okazję rozmawiać z Zojką, córką Rysia i Alicji, która mieszkała lata w Kanadzie. Podobnie, jak siostra Ryszarda, mieszkanka Vancouver.

Rysio miał w sobie delikatność, swoistą chłopięcość, która nie

mijała z latami. Miał też skromność, i jednocześnie szczególną emocjonalność, którą widać w pięknych, niemal osobistych, dedykacjach. Ale takie właśnie pisał. Ceniło się nie tylko jego książki, ale to, jakim był człowiekiem. Miał rzadką cechę całkowitego skupienia się na osobie, z którą rozmawiał. Pytał każdego o jego sprawy, wiedział, jakie są ważne dla jego znajomych i przyjaciół. A miał ich całe rzesze. W autobiograficznej książce „Ulica Żółwiego Strumienia", której pisanie było dla mnie swoistą terapią „polsko- amerykańską", pisałam o Rysiu, że podziwiam u niego „dyplomatyczne umiejętności gromadzenia wokół siebie wielu przyjaciół".



Projekt: Szymon Kobyliński

Miał zwyczaj dawania znajomym do lektury, z prośbą o komentarz, swoją przyszłą książkę. Dawał mi do czytania wiersze, czy np. Lapidaria. Pierwszy tom Lapidariów trochę mnie zaskoczył. W formie dziennika prowadził zapiski myśli, skojarzeń, uogólnień, trochę notatek. Pisał na przykład, że warunkiem ujarzmienia społeczności jest zepchnięcie jej na niski poziom egzystencji. Zmniejszenie wygody, zwiększenie zagrożenia jest następstwem polityki tych, którzy chcą umocnić swoje panowanie. Wiedzą oni, że człowiek wyczerpany walką z tysiącem przeciwieństw jest łatwym obiektem manipulacji. Walka dla człowieka to przetrwanie, a jest to zajęcie absorbujące, czasochłonne, wyczerpujące. Pisał, że zarówno ubóstwo potrzeb, jak i ubóstwo materialne są wygodne dla władzy. Bieda osłabia i przygniata człowieka, a ktoś, kogo potrzeby są ubogie, nawet nie wie, że istnieją rzeczy, których mógłby się domagać, walczyć o nie. Nasze ocalenie? – W dążeniu do rzeczy niemożliwych do osiągnięcia. Według mnie Rysio właśnie sobie umiał stawiać cele, jakby niemożliwe do osiągnięcia.

Kiedy po ponad dwuletnim pobycie w Kanadzie na Boże Narodzenie 1983 roku wróciłam do Polski, rzeczywistość dalece odbiegała od obecnej. Pewnego dnia zatelefonował Rysio.

– Wiesz, nie mam wody w mieszkaniu… – powiedziałam.

– To normalne, nie przejmuj się. Mój kolega nie ma ogrzewania,

cały dzień w wannie siedzi.

– Może grzać ręce nad gazem, słyszałam, że tak ludzie robią…

– Ale lepiej, jak wyłączą ciepłą wodę niż zimną, bo we wrzątku nie będziesz się myła…

– Ale ja w ogóle nie mam wody, wyłączyli, bo jakaś awaria. Przynosimy z Tomkiem wodę w wiaderkach z cysterny, którą podstawiono. Przed blokiem kałuża, bo woda wylewa się, wszystko zamarzło…

– Ludzie będą nogi łamać, gips będzie potrzebny, gipsu nie ma, bo nie ma dewiz…

W 1984 roku odwiedził Warszawę senator kanadyjski (polskiego pochodzenia, napisałam o nim książkę) Stanley Haidasz. Zaprosił mnie i Tomka na kolację, Rysia zaprosiłam także.

Z Haidaszem, Rysiem i z Tomkiem pojechaliśmy na kolację do „Baszty” pod Warszawę, Rysio zmienił w ostatniej chwili stolik (z ostrożności). Mówił, że Polska nie oczekuje takiej pomocy, jak kraje afrykańskie, nie potrzebuje np. kaszy, czy butów, bo tutaj ludzie nie umierają z głodu. Trzeba sobie zdać sprawę, jak ocalić naukę, dostęp do literatury, osiągnięć Zachodu. Przerwano prenumeraty pism specjalistycznych, bo nie było dewiz. Co

stanie się z myślą techniczną, z nauką, medycyną, jeżeli nie będziemy wiedzieli, co dzieje się u innych, odcięci od literatury naukowej, podkreślał Kapuściński.

Senator Haidasz powiedział, że więcej dowiedział się od Kapuścińskiego niż od wszystkich ludzi, z którymi spotkał się wcześniej.

I pisma naukowe otrzymały dotacje. To się zawdzięcza Ryszardowi.

W 1984 roku literaci, artyści nie pracujący na etacie mogli otrzymać specjalne zaświadczenia z urzędów dzielnicowych, które pozwalały im na opiekę lekarską. Na warszawskim Mokotowie pracowała Wanda Rogowiczowa, wdowa po tłumaczu, urocza siwa pani z piękną kartą wojenną. Poszliśmy do niej na Rakowiecką. Ryszard mieszkał na Woli, ale przyrzekła zatelefonować na Wolę, by mu załatwili „druczek". W trakcie rozmowy spytała. – Dlaczego pan nie mieszka na Mokotowie? My tu dbamy o ludzi… Potem zapytała, gdzie się urodził. Kiedy w odpowiedzi usłyszała, że w Pińsku (ona koło Nowogródka), że jest Poleszuk, to wstała i ucałowała go. Głaskała go po rękawie i zaczęli przekrzykiwać się we wspomnieniach. Była to cudowna scena. Wydała mu zaświadczenie. – Nie szkodzi, że nie z Mokotowa, biorę pana pod swoją opiekę – orzekła.

Kiedy wyszliśmy, powiedziałam wzruszona do Rysia:

– Popatrz, przepisy są w całym kraju takie same, ale zobacz, jaka może być różnica. Jak człowiek może być traktowany życzliwie, pomocnie.

– Oczywiście, tutaj jest jeszcze ciepło, którego nie uświadczysz na Zachodzie – powiedział.

Nie wiedziałam wtedy, że zamieszkam na stałe w Stanach Zjednoczonych.

Jadąc do Anglii, spytał mnie o moich przyjaciół, których odwiedzałam. Podzieliłam się londyńskimi adresami, telefonami. Urządzono mu prywatne piękne spotkanie, zachwyceni nim byli absolutnie wszyscy. Spotkał go duży sukces, pokazywano w BBC, gazety cytowały na pierwszych stronach. Powiedział mi po powrocie:

– Polska jest enklawą, jedynie jeszcze tu ludzie czytają książki. Na Zachodzie co godzinę wychodzi 180 książek, ale największą popularnością cieszą się filmy, kasety, wideo (…). Trzeba się zastanowić – jaki temat ma rangę światową i dopiero wtedy pisać. Co z tego, że powstanie jeszcze jedna powieść?…

W 1987 roku z Anglii przyjechał zespół Teatru Królewskiego ze

sztuką według książki Kapuścińskiego „Cesarz”, którą pokazano w teatrze „Studio”. Oboje z Tomkiem byliśmy zaproszeni przez Ryszarda. Rolę tytułową grał karzeł przykuty do wózka inwalidzkiego.

Pamiętam, jak Rysio autentycznie cieszył się swoimi pięknymi sukcesami w świecie. Przynosił w teczce książki – tłumaczenia. Wszyscy się z nim cieszyliśmy.

Przytoczę jego karteczki z końca lat 80:

> St. Anthony’s College, Oxford OX2 6JF England)
> Oxford, 10. 5.86
> Kochana Oleńko! Oxford tylko na pocztówce jest taki słoneczny, w rzeczywistości leje tu bez przerwy, jest zimno i pisząc do Ciebie siedzę w kurtce. Zmarznięty i z grypą, a jest chyba 10 maja. Będę tutaj do końca czerwca. Akurat wydali w Londynie „Szach-in-Szacha” (równocześnie wyszedł we Francji i RFN – z tego powodu mam ciągłe zawracania głowy o wywiady. Tutaj wykładam, czytam, mam wieczory autorskie – dużo wszystkiego. Co u Ciebie? Serdeczności dla Tomka!
> Całuje Cię i ściskam najmocniej.
> Rysiek



Pocztówka z Gubałówki bez daty (koperta się nie zachowała)

> Oleńko, słonko złote – dzięki za uroczą kartkę. Tu jest bardzo pięknie, pogodnie, biało górzyście. Mnóstwo kolegów, bo odbywają swoje mistrzostwa narciarskie. Ja, jako człowiek, który nigdy nie miał nart na nogach, występuję w roli sędziego.
> Jesteś urocza, że o mnie pamiętasz. Zaraz po powrocie zadzwonię.
> Całuję mocno
> Rysiek

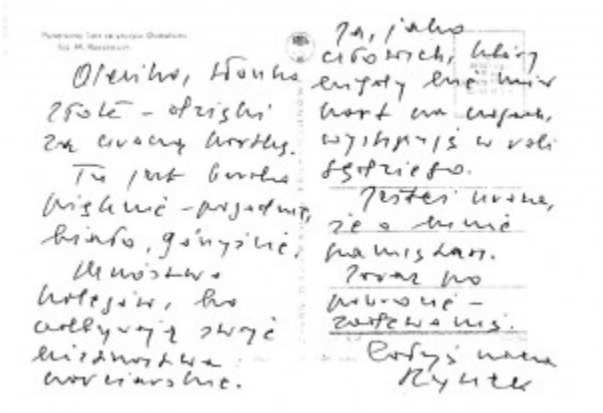

Oslo, 25 sierpnia 1986
Droga Oleńko i Tomku!
Pozdrawiam Was serdecznie z Oslo. Pięknie tu, trochę jak w Krynicy, albo w Zakopanem Ludzie bardzo sympatyczni.
Wracam początek września – zadzwonię.
Pozdrawiam serdecznie
Rysiek



Gdy odwiedziłam Polskę w 1990 roku, zaprosił mnie i mojego męża, Normana, do restauracji „Harenda” na Krakowskim

Przedmieściu. Ładnym angielskim opowiadał o pobycie w Filadelfii na stypendium. Mój powściągliwy mąż odtąd stał się jego wielkim zwolennikiem. Kupowaliśmy amerykańskie wydania książek Rysia i obdarowywaliśmy naszych przyjaciół.

Gdy każdego roku przyjeżdżałam do Polski, telefonowałam, czasami z wahaniami, myśląc, że jest zajęty i że nie chcę mu zabierać czasu. – Musisz obiecać, że zawsze będziesz dzwonić, mówił. Znajdywał czas i szliśmy na kawę. Pokazał mi swój nowy dom na Kolonii Staszica, jak kiedyś pokazał mieszkanie w blokach na Jelonkach, przy ulicy Pustola. W obu miejscach zwrócił mi uwagę na widok z okna – na drzewa.

Książki Ryszarda wydawane po 1990 roku mam w bibliotece w domu w Delaware. Od kiedy mieszkam w Stanach Zjednoczonych czytałam o nim na łamach nowojorskiego „Nowego Dziennika", dodatku literackiego „Przegląd Polski", który starannie prowadzi Julita Karkowska. Informowała o każdej nowej nagrodzie i wyróżnieniu. Doskonałe omówienia kolejnych książek drukował Marek Kusiba, zachowałam kilka z nich w swoim archiwum. Pamiętam też wywiad Czesława Karkowskiego przeprowadzony w czasie kolejnego pobytu Kapuścińskiego w Ameryce.

Zachowałam wiele wycinków na temat Ryszarda Kapuścińskiego drukowanych w prasie amerykańskiej. Widziałam na popularnej stacji PBC rozmowę z nim znanego dziennikarza, Charlie Rose.

W 2006 roku Rysio napisał, że ma kłopoty ze zdrowiem. Miał je od dawna, po powrotach z podróży, miał też zabiegi na kręgosłup.

Przyjechałam do Polski jako stypendystka Fulbrighta na dziewięć miesięcy. W przeddzień mojego spotkania w Salonie Pisarzy w Bibliotece Narodowej, Alicja Kapuścińska, nagrała wiadomość, że nie będzie obecna, bo Rysio ma tego dnia operację.

Zadzwoniłam kilka dni później, rozmawiałyśmy ponad godzinę. Umówiłyśmy się, że zatelefonuję za tydzień, kiedy miały być wyniki analiz.

Następnego dnia Ryszard Kapuściński zmarł.

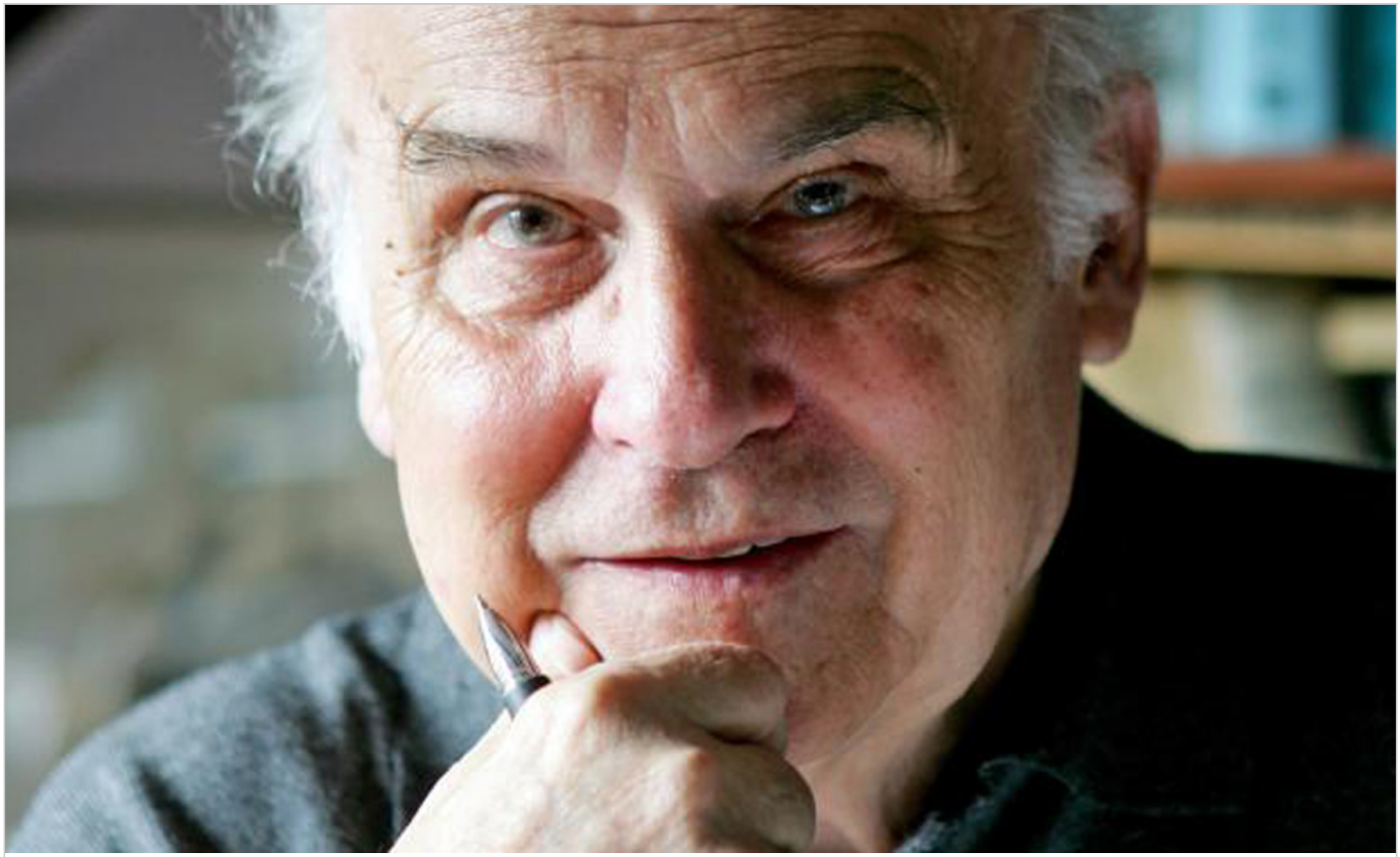

Ryszard Kapuściński, fot. DailyMaverick.co.

W „Lapidarium” napisał, że w miarę jak upływa czas, życie staje się coraz bardziej podróżą w głąb naszej własnej przeszłości, w głąb siebie. I że ci nowi przybywający na świat coraz mniej nas obchodzą, bowiem nie przybywają dla nas.

Cieszę się, że miałam szczęście, dar od losu, znać Ryszarda Kapuścińskiego. Ogromnie sobie cenię, że Ryszard przybył na świat „w tym samym czasie”.

Mam w saloniku krzyż koptyjski, prezent od niego. Mam Różę wiatrów, koraliki. I mam, jak my wszyscy, jego książki.

***

Mam wiele książek z dedykacjami Kapuścińskiego. Wszystkie dedykacje są serdeczne i pełne uczuć. Jakby miał ich w sobie tak wiele, że chętnie nimi obdarzał innych.

Pierwodruk wspomnienia Aleksandry Ziółkowskiej-Bohem: „List oceaniczny" – Dodatek Kulturalny „Gazety" pod redakcją Joanny Sokołowskiej-Gwizdka, luty 2007, nr 50.

http://www.gazetagazeta.com/artman/publish/article_17083.shtml

Zobacz też:

http://aleksandraziolkowskaboehm.-blogspot.com/2017/01/ryszard-kapuscinski-wspomnienie.html

GALERIA

Ryszard Kapuściński
Busz po polsku

Olenice –

z radością, że
jest tak samo
kroczą jak
przed tym, jak
zatoczę

Ryszek
Po powrocie
z Angoli
grudzień 1975

RYSZARD KAPUŚCIŃSKI

Chrystus z karabinem na ramieniu

Kochanym
Olenice i Tomkowi
od tego, któremu
jest z Wami
tak dobrze

Ryszard Kapuściński
Warszawa
16.10.1987

CZYTELNIK · WARSZAWA 1976

RYSZARD KAPUŚCIŃSKI

DLACZEGO ZGINĄŁ
KARL VON SPRETI

Olenice –
z którą
napiszemy
X ∞ książek

Rysiek

W-wa 12.4.75

Kapuściński
Jeszcze dzień życia

Kochanej
Olenice –
życzę sobie,
żeby była dla
mnie taka jak
zawsze

Rysiek

W-wa 20.5.78



Ryszard Kapuściński

Kochanym
Olence i Tomkowi
z radością że Ich
widzę, z nadzieją,
że spotkamy się
wkrótce

z tęsknotą

Rysiek
Warszawa 7.11.1990

Ryszard Kapuściński

Notes

Kochanej
Olence
na imieniny

Rysiek
26.2.
87

Czytelnik · Warszawa 1986

Ryszard Kapuściński

Szachinszach

Czytelnik
Warszawa
1983

Kochanej
Ulence
z wielką
radością
że wróciła
Ryszek
Warszawa 27.3.84

Ryszard Kapuściński

THE EMPEROR

Translated from the Polish by
William R. Brand and
Katarzyna Mroczkowska-Brand

To jest
Książka
dla Olesiki



wraz
ze słońcem
z Londynu
z miłością
Ryszek
Warszawa
22.8.84

PICADOR
published by Pan Books

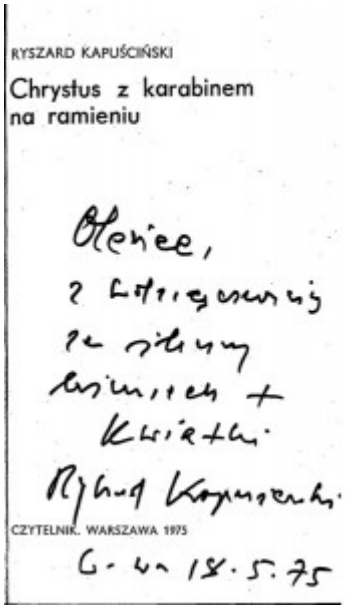
RYSZARD KAPUŚCIŃSKI
Chrystus z karabinem na ramieniu
CZYTELNIK. WARSZAWA 1975

Tłumaczka z pasją. Nina Krygier-

Michalak.



Nina Krygier-Michalak

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Powieść „Kto widział wiatr” będąca debiutem pisarskim kanadyjskiego powieściopisarza, dramaturga i satyryka Williama O. Mitchella wydana po raz

pierwszy w 1947 roku od razu stała się bestsellerem. Znalazła się w lekturze szkolnej, na jej podstawie nakręcono film. Dopiero po 60 latach zainteresowało się wydaniem kanadyjskiej powieści w pani tłumaczeniu polskie wydawnictwo MUZA. Jak długo starała się pani zainteresować wydawnictwa w Polsce tą książką?

Nina Krygier-Michalak: Około czterech lat. Jest to żmudny proces zwłaszcza kiedy nie jest się na miejscu, tzn. w Polsce i nie ma się na tamtym rynku ugruntowanej pozycji jako tłumacz. Bywało, oczywiście, że całymi miesiącami nic się nie działo, byłam zajęta inną pracą, sprawami rodzinnymi. Kiedy wybrałam się na Krajowe Targi Książki w Warszawie biorąc ze sobą piękne, albumowe wydanie, MUZA była jednym z wydawnictw, które obejrzały książkę i przywiezione przeze mnie dodatkowe materiały. No i widocznie coś musiało się im w tym wszystkim spodobać.

Jednym z powodów, dlaczego książka czekała na polskiego czytelnika od 60 lat jest zapewne fakt, że sam autor chyba nie za bardzo zabiegał o tłumaczenie jej na inne języki. Za jego życia ukazała się jedynie wersja francuska. Dopiero w ostatnich latach książka została przetłumaczona także na koreański i włoski. Z kolei jeśli nawet Polak będący tłumaczem przeczytał ją w oryginale, to zapewne rezygnował w przedbiegach, bojąc się piętrzących trudności związanych ze znalezieniem wydawcy i perspektywą pracy bardziej prestiżowej niż zarobkowej.

JSG: Jak podeszli do wydania powieści w Polsce spadkobiercy autora?

NKM: Spadkobierców spuścizny literackiej pisarza, którymi o ile mi wiadomo są jego dzieci: dwóch synów i córka, nie poznałam jeszcze osobiście, chociaż mam nadzieję, że to wkrótce nastąpi, zwłaszcza po zapięciu na ostatni guzik wszystkich warunków umowy i podpisaniu ostatecznej wersji. Przez cztery lata byłam w kontakcie internetowym z jednym z synów. Orm Mitchell wykłada literaturę kanadyjską na uniwersytecie w Trenton w prowincji Ontario. Kontakty z nim były sporadyczne i raczej oficjalne, aczkolwiek ostatnio otrzymałam miłe i ciepłe słowa podzięki za upór w dążeniu do wydania polskiego tłumaczenia dzieła jego ojca.

JSG: Dlaczego pani zapragnęła przetłumaczyć tę właśnie powieść? Co według Pani stanowi o jej wartości?

NKM: Nie jestem krytykiem literackim, więc nie wiem według jakich kryteriów dana książka zasłużyła sobie na miano arcydzieła. „Kto widział wiatr" – nawet jeśli nie uzna się jej za arcydzieło – należy z pewnością do tzw. bardzo dobrej literatury. Osadzona w realiach kanadyjskiej prerii lat 30. XX w. opowiada dzieje chłopca zgłębiającego tajniki życia. Tłem dla przygód chłopca są losy mieszkańców małego miasteczka w prowincji Saskatchewan i roztaczająca się wokół bezbrzeżna kanadyjska

preria. Co ujmuje w niej najbardziej to prosty, a jednocześnie poetycki i pełen humoru język, którym autor posługuje się zarówno opisując sprawy przyziemne, zwykłe, jak i pokazując sprawy wielkie, takie jak stosunek człowieka do przyrody, czy też problem wolności indywidualnej a odpowiedzialności przed społeczeństwem. To chyba pierwsza rzecz, która bardzo mi się w tej książce podoba – umiejętność połączenia kontrastujących ze sobą elementów: powagi z humorem, prozy z poezją, czyli jej uniwersalizm. Dzięki temu książka może podobać się zarówno osiemnastolatkowi, jak i osiemdziesięciolatkowi. Druga rzecz to od pierwszych kartek książki fascynujący proces całkowitego utożsamienia się z głównym bohaterem, który jest przecież dzieckiem i trzeba się czasem uszczypnąć, by zdać sobie sprawę z relacji bohater – czytelnik. Stanowi to, według mnie, o absolutnym autentyzmie powieści.

JSG: Czy trudno jest przenieść na język polski klimat międzywojennej kanadyjskiej prerii w prowincji Saskatchewan i losów poznającego życie młodego chłopca? Czy natrafiła pani na jakieś szczególne trudności podczas tłumaczenia?

NKM: Trudności tłumaczeniowe wynikają między innymi z uproszczonego, czy też lekko gwarowego języka, jakim posługują się niektórzy bohaterowie. Najczęściej jednak to po prostu jest to kwestia innej struktury zdania, czy też zbitek językowych, funkcjonujących w angielskim np. jako przymiotniki, nie mające

bezpośrednich odpowiedników w języku polskim, które trzeba zgrabnie rozpisać. „Black-eyed Susan” to w polskim po prostu „czarnooka Zuzanna”, ale spróbujmy przetłumaczyć „three-gaited horse”, koń idący raz stępa, raz kłusem, raz galopem. Jak zrobić z tego przymiotnikowego „konia o trzech chodach”?

JSG: Jak to jest, gdy spędza się wiele czasu z jedną powieścią. Czy „zaprzyjaźniła się” pani z jej bohaterami? Czy oni stali się częścią pani świata?

NKM: Kilka lat po przeczytaniu książki pamięta się ciągle przezabawne scenki. Z bohaterem nie tyle się zaprzyjaźniłam, co po prostu, jak już wspomniałam wcześniej, stał się on częścią mnie. Zresztą każdy z nas, mimo upływu lat, z łatwością może przenieść się w świat dzieciństwa, świat pierwszych fascynacji zapachami, barwami, smakami, świat zadziwienia i zdumienia. I ta książka właśnie ten świat przybliża, czy też jak kto woli, na nowo odkrywa.

JSG: Skończyła pani Studium Języków Obcych na Uniwersytecie Warszawskim, ze specjalnością językoznawstwo stosowane. W Kanadzie pracuje Pani jako tłumacz od 1984 roku. Czy tłumaczenie literatury to pani hobby, pasja?

NKM: I jedno i drugie. Hobby, dlatego, że w kanadyjskich warunkach (choć może i w polskich również), nie ma możliwości

poświęcenia się całkowicie tłumaczeniu literatury, zwłaszcza wartościowej. Jest to rzecz wielce nie intratna, a życie ma swoje prawa. Pasja, bo od zawsze fascynowało mnie słowo. Jeszcze kiedy mając 12-13 lat nie znałam żadnego obcego języka i namiętnie rozwiązywałam krzyżówki i fascynowała mnie zabawa na zasadzie: jak to można inaczej nazwać, czy wyszukiwanie obcych słów – angielskie piwo „Ale", australijski misio „koala" itp.

JSG: Tłumaczy pani literaturę nie tylko z języka angielskiego na język polski, ale i odwrotnie, z języka polskiego na język angielski. Takim tłumaczeniem był np. zbiór wywiadów Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm pt. „Korzenie są polskie". Na jaki język woli pani tłumaczyć? Proszę opowiedzieć coś więcej o „Korzeniach…", czy np. trudno jest oddać różne polskie zawiłości historyczne w języku angielskim?

NKM: Ogólnie powiedziawszy, łatwiej tłumaczyć z obcego języka na język ojczysty, w którym się wyrosło, ukończyło szkołę. Tłumaczenie odwrotne, z języka ojczystego na obcy, wymaga jeszcze większego nakładu pracy, a ostateczna wersja musi być koniecznie sprawdzona przez tzw. native speaker. Najlepiej, tak jak ja to robię szczególnie przy tekstach literackich, przez osobę nie mającą żadnych naleciałości językowych, nie znającą obcych języków i poruszającą się tylko i wyłącznie w obrębie języka angielskiego. Poza tym proces jest podobny: pierwsza wersja,

niezgrabna, siermiężna, dosłowna, by nie uronić żadnego niuansu. Drugi etap ja nazywam przy tłumaczeniach z angielskiego na polski „przekładaniem z polskiego na nasze", czyli obróbka językowa, szlifowanie, polerowanie, wygładzanie zdań, prawie tak jak przy obróbce drogocennych kamieni. „Korzenie" to była dla mnie przede wszystkim wielka lekcja historii: ta galeria wybitnych postaci z kanadyjskiego i amerykańskiego podwórka, wielu z pokolenia „niezłomnych" z ogromnym bagażem doświadczeń przedwojennych, wojennych i powojennych. Oprócz bardziej znanych postaci jak Czesław Miłosz czy Zbigniew Brzeziński, na kartach książki znalazł się m.in. Janusz Żurakowski, wybitny pilot doświadczalny, którego nazwisko trafiło do Encyklopedii Kanadyjskiej. Trudności językowych nie brakowało. Przez długi czas głowiliśmy się z panem Koglerem – ówczesnym dyrektorem Polsko-Kanadyjskiego Instytutu Badawczego, który zlecił mi tłumaczenie – jak najlepiej przełożyć na angielski słowo: „niezłomni". Ja zaproponowałam „indomitable", on nie był do końca przekonany, ale ostatecznie ta wersja poszła do druku. „Indomitable" znaczy dosłownie „nieposkromiony, niezwyciężony, niepokonany", ale w angielskim często używa się go z rzeczownikiem „spirit", „indomitable spirit", i to właśnie jest to, człowiek niezłomnego ducha.

JSG: Kiedy i z jakiego powodu znalazła się pani w Kanadzie? Czy czuje się tu pani u siebie?

NKM: Z kraju nie wygnała mnie ani bieda, ani prześladowania polityczne. Z mężem, Kanadyjczykiem polskiego pochodzenia, poznaliśmy się we Francji mając po 21 lat. Jego polski był wtedy słaby, mój angielski – żaden. Kilka następnych lat to długie, cotygodniowe listy (obydwoje nieźle znaliśmy już wtedy francuski), rzadkie spotkania, tęsknota i…. paszportowa gehenna. Kiedy w wieku 25 lat postanowiliśmy się pobrać, było mi obojętne gdzie jadę: najważniejsze było być razem. Z perspektywy czasu widzę jakie miałam szczęście. Przyjechałam do kraju zamożnego, do rodziny męża, która przyjęła mnie z otwartymi ramionami, znającej język polski i pielęgnującej polskie tradycje. Po prawie 30 latach trudno nie czuć się u siebie, w jakimkolwiek chyba kraju. Wszystko zaczyna nas wiązać: rodzina, dzieci, grono przyjaciół, praca, dom, sposób spędzania wolnego czasu, coraz więcej znajomych, wydeptanych ścieżek. Z Polską mam bardzo żywe kontakty, często odwiedzam tam przyjaciół i rodzinę, przez Internet ciągle słucham różnych polskich rozgłośni radiowych.

JSG: Czy jest jeszcze jakaś książka, która chciałaby pani przetłumaczyć?

NKM: Syn autora wspomniał, że jest dalszy ciąg dziejów bohatera, luźno połączony z pierwszym tomem (trochę na zasadzie „Ani z zielonego wzgórza”). Zobaczymy.

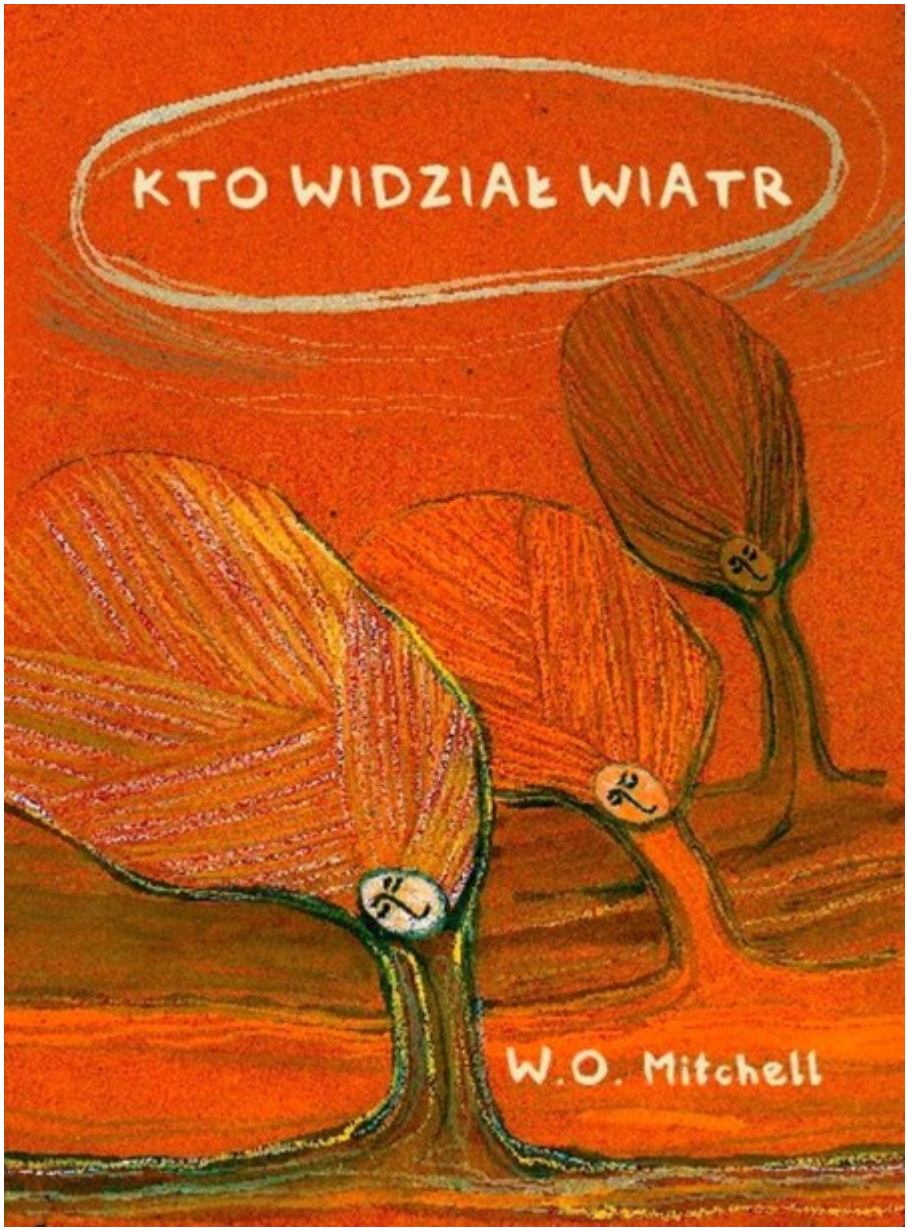

W.O. Mitchell, Kto widział wiatr, tłum. Nina Krygier-Michalak, wyd. Muza 2008 r.

Nina Krygier-Michalak jest tłumaczką z zawodu i z zamiłowania. W 1975 roku ukończyła Studium Języków Obcych na Uniwersytecie Warszawskim, ze specjalizacją – językoznawstwo stosowane. Posiada również tytuł tłumacza dyplomowanego (certified translator) przyznany przez

Kanadyjskie Stowarzyszenie Tłumaczy (Association of Translators and Interpreters of Ontario). Posługuje się językami obcymi: angielskim, francuskim, hiszpańskim. W Kanadzie pracuje jako tłumacz od 1984 roku. Jej pionierska praca przybliżająca różne sprawy z życia politycznego, społecznego, ekonomicznego i kulturalnego, pokazywała różnice między Polską i Kanadą. Aby przybliżyć Polakom Kanadę, Nina Michalak opracowała dla polskiej sekcji Radio Canada International, 30 krótkich historii, opartych na francuskich i angielskich materiałach źródłowych, dotyczących różnych aspektów życia w Kanadzie. Na początku lat 90. na zlecenie Kongresu Polonii Kanadyjskiej oraz Polsko-Kanadyjskiego Ośrodka Naukowo-Badawczego, pracowała nad serią esejów historycznych na temat wkładu Polaków w społeczeństwo kanadyjskie. Jednym z najważniejszych projektów było przetłumaczenie wybranych rozdziałów książki z okazji 50-lecia Kongresu Polonii Kanadyjskiej, wydanej w 1996 roku (Half a Century of Canadian Polish Congress). Ostatnią większą przetłumaczoną pozycją, jest zbiór wywiadów pióra Aleksandry Ziółkowskiej-Bohem pod tytułem „Korzenie są polskie”. Przedstawieni w niej zostali wybitni Polacy, mieszkający w Kanadzie i Stanach, tacy jak np. pilot Janusz Żurakowski czy doradca do spraw zagranicznych prezydenta Jimmy’ego Cartera, Zbigniew Brzeziński. (Pierwsze wydanie w 1999 r., drugie w kwietniu 2004).

Kto widział wiatr



Kanadyjska preria w prowincji Saskatchewan.

William O. Mitchell

tłumaczenie Nina Krygier-Michalak

W zagródce pana Hoffmana były najpierw tylko dwa króliki. Teraz było ich dziesięć. Chłopców zachwyciło to coś za nic. I chociaż przyszła im do głowy myśl o możliwości jakiegoś rozrostu, to jednak nie spodziewali się, że nastąpi to tak szybko. Mamą została grubaśna królica rasy belgijskiej: Brian i Fat byli naocznymi świadkami przyjścia króliczków na świat.

– O rany, Fat – wykrzyknął Brian. – Jakie one śmieszne, w ogóle nie mają włosów.

– Urosną im – oświadczył Fat. – Jak będą duże, to im urosną.

– A potem one będą miały małe – prorokował Brian. – I te urosną.

– I urodzą małe – dodał Fat.

– I te urosną i będą miały małe.

– Będziemy mieć całą masę królików – orzekł Fat.

– I co z nimi zrobimy?

– Sprzedamy je – odpowiedział Fat. – Tato zapłacił za każdego 50 centów. Sprzedamy je.

Tak więc, przez dwa tygodnie chłopcy z niecierpliwością wyczekiwali pojawienia się nowych królików. Ike zwrócił ich uwagę na ciekawą zależność: grubaśny królik – małe króliczki. Zjawisko to nie kojarzyło im się wcześniej z przyjściem na świat młodych. Pod koniec miesiąca, kiedy nic się nie pojawiło, Brian postanowił pójść do ojca.

– Tato!

– Tak, urwisku.

– Skąd biorą się króliki?

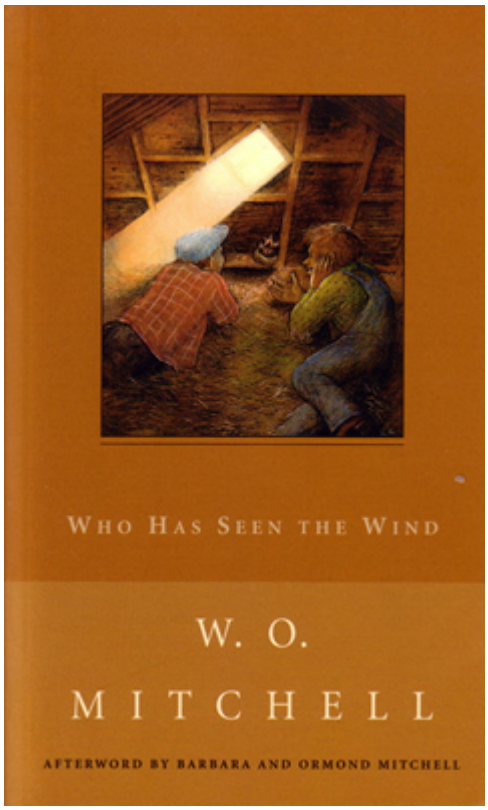

Ojciec Briana zmierzył syna wzrokiem. Siedział w swoim gabinetowym fotelu. Światło lampy stojącej przy jego łokciu rzucało blask na jego ciemne, rude włosy. W pokoju panowała cisza zmącona jedynie powolnym, miarowym pykaniem jego fajki. Już od jakichś dwóch lat czekał na to pytanie. Musi z nim o tym otwarcie i uczciwie porozmawiać.

– Wiesz skąd biorą się roślinki?

– Skąd?

– Z ziarenek. Wsadza się je do ziemi i wyrastają z nich roślinki. – Spuścił rękę, by podrapać w ucho Jappy'go, leżącego przy fotelu.

– To, to wiem.

– Wiesz, co? – spytał Bobbie, który wszedł do pokoju.

– Coś, co tłumaczę Brianowi. Ze zwierzętami jest tak samo.

– Naprawdę?

– Co, jest? – spytał Bobbie.

– Małe – odparł Brian. – Mówi mi, skąd biorą się małe.

– Pamiętasz, jak pytałeś mnie o gołębie, kiedyś dawno, będzie z cztery lata temu.

– Nie – odparł Brian.

– Powiedziałem ci wtedy, że gołębie rosną w jajku – w środku jajka – a jajko jest w środku mamy gołębicy, aż się nie wykluje. Cały czas jak mama gołębica je wysiaduje, gołąbek rośnie w

środku. I wykluwa się, jak jest już dostatecznie duży.

– Ale króliki nie – powiedział Bobbie. – Brian widział jak wychodzą z mamy – powiedział, że widział jak wychodzą…

– Króliki, to co innego. Nie wykluwają się z jajka. Rosną po prostu w matce, a kiedy przychodzi czas, rodzą się.

– Rodzą się – powtórzył Bobbie.

Gerald O'Connal spojrzał w zadumaną twarzyczkę Briana. Jappy podniósł się i przeciągnął. Wyciągnął głowę i naprężył ukośnie tylnie nóżki, po czym drobnymi kroczkami wyszedł z pokoju. Wygląda na to, że wyjaśnienia były wystarczające, powiedział do siebie ojciec Briana. Podniósł znowu swój *Regina Leader*.

– A jak ziarenko dostaje się do środka? – spytał Brian.

– To – och – z tego rośnie króliczek u mamy w brzuchu, urwisku.

– I w niej jest pełno ziarenek?

– Tak – ona – coś takiego.

– A jak nie ma ziarenek, to nic nie urośnie?

Gerald O'Connal odłożył gazetę. Patrzył jak Bobbie podpiera sobie podbródek tłuściutkimi rączkami zgiętymi w przegubach, a podwinięte palce opierają się o pulchne policzki. Niebieskie oczy wpatrywały się w twarz ojca.

– Zgadza się. Tata królik musi posadzić te ziarenka.

– A skąd on je ma?

– Słucham? – One są w nim.

– To dlaczego nie rosną w nim i nie wyjdą z niego? – Brian nie dawał za wygraną.

– Bo nie. Bo muszą rosnąć w mamie królicy.

Brian zamilkł. Popatrzył na ojca z namysłem.

– To to jest tak jak mówi Ike – to on tak to robi jak …..

– Tak, właśnie to robi. Kiedy sadzi ziarenka…..

Natarczywe spojrzenie Briana wprawiało go w zakłopotanie.

– Można to tak nazwać. – zakończył pan O'Connal.

– Tato, tato? – Bobbie uwolnił z rąk swój podbródek. – A czy on może posadzić w niej rzepę?

Brian z niesmakiem popatrzył na swojego młodszego brata.

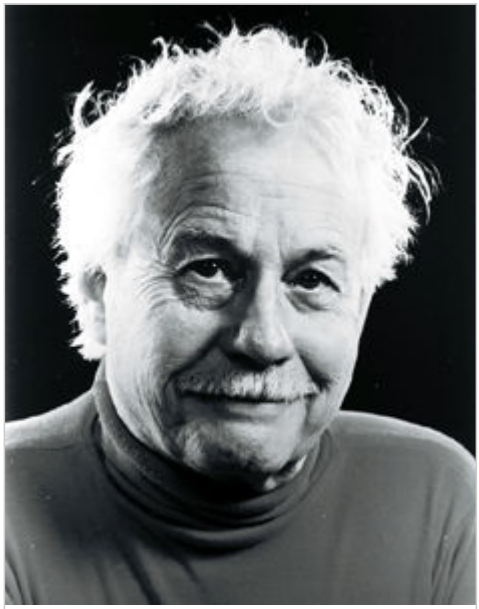

W.O. Mitchell, fot. Ed Ellis.

William O. Mitchell – kanadyjski powieściopisarz, dramaturg i satyryk urodził się w 1914 roku w Weyburn, Saskatchewan. Dorastał na Florydzie, ale w 1931 roku wrócił do Kanady i podjął studia na Uniwersytecie Mianitoba w Winnipegu. Po podróżach przez Amerykę Północną i Europę, zdobył tytuł Bachelor of Art. na Uniwersytecie w Albercie. Po studiach osiedlił się w małym miasteczku i pracował jako nauczyciel w szkole. Możliwe, że właśnie wtedy narodził się pomysł napisania książki, której bohaterem jest chłopiec, mieszkający w małym miasteczku na kanadyjskiej prerii. W 1944 roku William O. Mitchell zrezygnował z bycia nauczycielem i poświęcił się wyłącznie pisaniu. W 1947 roku opublikował powieść „Kto widział wiatr”,

która mimo tego, ze była jego debiutem pisarskim, szybko stała się bestsellerem.

Wydawnictwo Macmillian określiło go, jako „błyszczący nowy talent, który wchodzi do świata pisarskiego”. Podobnie wysoko walory pisarskie Michella ocenili krytycy i recenzenci. W latach 1948 – 1951 William O. Mitchell mieszkał w Toronto i pracował jako redaktor dla Magazynu McLeans.

Opublikował wówczas kolejne książki, przygotował kilka programów radiowych, pisał poezje. Po pobycie w Toronto, wraz z żoną zamieszkał na 20 lat w High River, a następnie państwo Mitchell przenieśli się do Calgary, gdzie do dziś mieszka ich syn. Pisarz przez szereg lat kierował pisaniem kreatywnym w Banff Centre, pełnił funkcję pisarza-rezydenta na wielu uniwersytetach, był jednym z najbardziej popularnych „speaker-performers”. Dwa razy zdobył nagrodę Stephena Leacock’a za poczucie humoru, które było stałym elementem jego wielu tekstów, przygotowywanych zarówno dla pism, jak i radia czy telewizji. Wielokrotnie go nagradzano. Otrzymał m.in. Order Kanady, a w 1991 roku został honorowym członkiem Privy Council. Powieść „Kto widział wiatr” wydawana wiele razy zarówno w Kanadzie, jak i w Stanach, weszła na stałe do lektur szkół średnich, mimo, że nie jest powieścią tylko dla młodzieży. Ale nie wszystkie wersje były takie same. Fakt ten odkryła synowa pisarza, Barbara Mitchell. Udowodniła, że oryginalne

wydanie książki zostało zapomniane, a wszystkie wydania do 1991 roku, były oparte na skróconej, amerykańskiej wersji powieści. Dopiero wydanie z roku 1997, z okazji 50-lecia pierwszej publikacji Mitchella, wydanej przez to samo wydawnictwo Macmillian, nie odbiegało od oryginału. Barbara Mitchell opatrzyła więc wydanie jubileuszowe dodatkowym esejem, będącym intrygującą historią na temat zmagań Mitchella z amerykańskimi wydawcami. W 1974 roku powieść przetłumaczono na język francuski. Obecnie tłumaczona jest również na język włoski i koreański. Wersja filmowa ukazała się w roku 1977.

Do 1980 sprzedano pół miliona egzemplarzy tej popularnej w anglo- i francuskojęzycznym świecie, książki.

Nowela W.O. Mitchella nosi znamiona charakterystyczne dla literatury kanadyjskiej. Jest nimi stosunek człowieka do przyrody, porównanie praw natury z prawami rządzącymi wspólnotami ludzkimi, problemy takie jak – wolność indywidualna, a odpowiedzialność przed społeczeństwem, świat dziecięcej niewinności, a doświadczenia życiowe człowieka dorosłego itd. Osadzona w realiach kanadyjskich prerii, pełna humoru, sugestywnych opisów przyrody i barwnych postaci przedstawia wartości ogólnoludzkie, przemawiające do każdego, bez względu na miejsce zamieszkania i wiek.

Przepojona prostotą i autentyzmem opowiada dzieje chłopca zgłębiającego tajniki życia. Tłem dla przygód chłopca są losy mieszkańców małego miasteczka w prowincji Saskatchewan i roztaczająca się wokół bezbrzeżna kanadyjska preria.

W Jarze

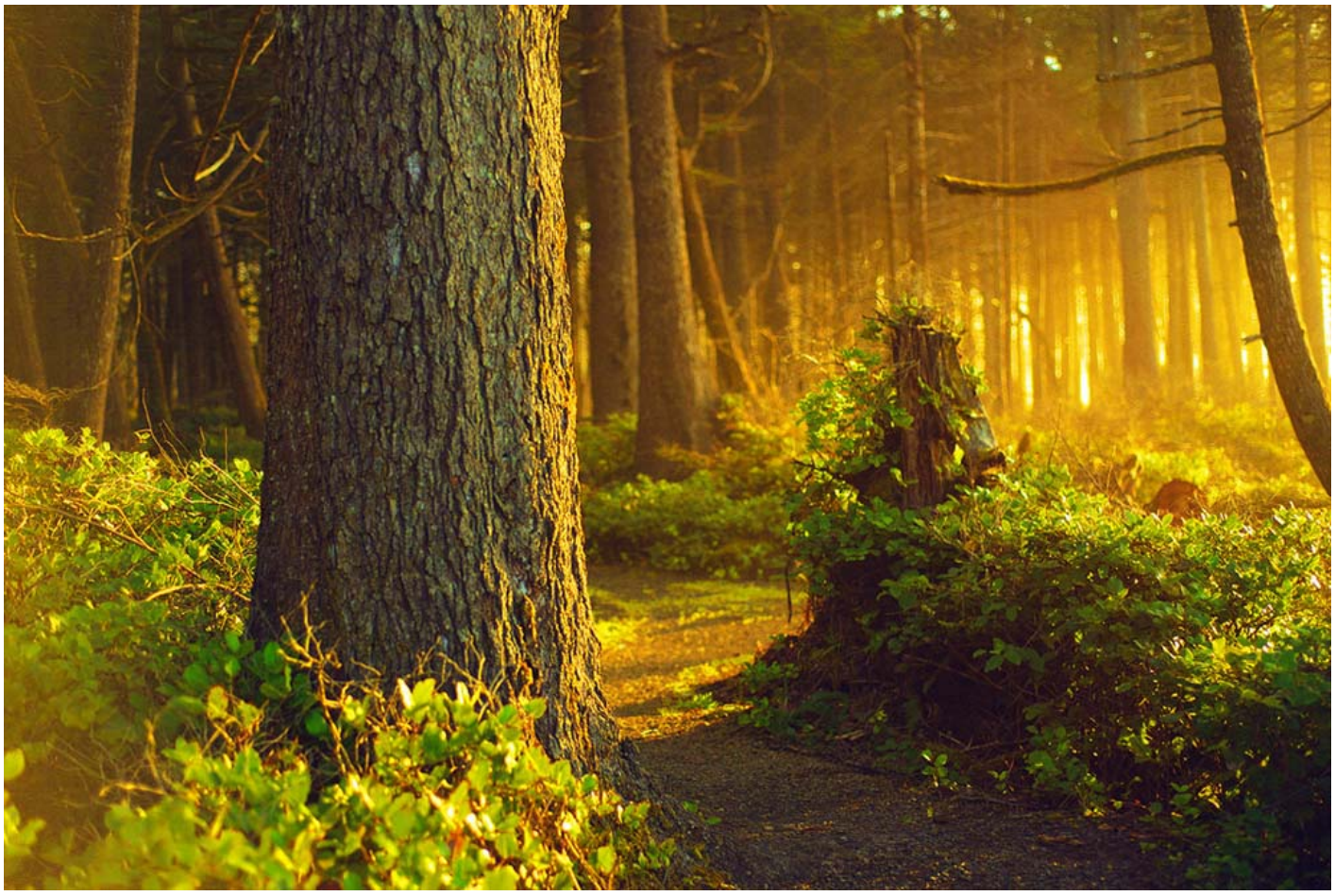

Ryszard Sawicki

– Dopiero marzec – pomyślał Józef. Patrzył na ośnieżoną ziemię, na ciemne pnie drzew, które wydawały mu się drewnianymi kolumnami starego domu, podtrzymującymi dach nad gankiem, ale dom ten i ganek nie były takie jak w budynku, gdzie mieszkał, niewielkim, obrośniętym dzikim winem, te pnie starych drzew, grube, mocne, były jak kolumny w olbrzymiej świątyni, zbudowanej dla bogów z innego świata niż jego świat, z minionego świata jaki jawił mu się czasem, gdy wchodził do lasu. W leśnym jarze, głębokim i ciemnym nawet wówczas, gdy ziemia wysłana była nieskazitelną bielą śnieżnego kobierca i lśniła w półmroku, w podolskim jarze wyrzeźbionym przez wodę roztopów, a płynącą pod ziemią jeśli nie musiała, z powodu nadmiaru, płynąć po powierzchni. Patrzył na drzewa, które wyrosły długo przed jego pierwszą wizytą w tych okolicach, przed pierwszym zejściem do jaru, do źródła, które biło w jarze. Te prastare drzewa były jego przyjaciółmi, od których, jak mu się zdawało, mógł w trudnych chwilach spodziewać się pocieszenia.

Potrzebował pocieszenia, bo czuł, że *serce smuci się wspomnieniem, a co było dawniej już nigdy nie wróci,* jak wyraził wierszem wstępując do jaru. Układał takie rymy w samotności, a potem, wróciwszy do domu, starał się zapisywać to, co jeszcze pamiętał. Ale zazwyczaj zapominał swoje rymy zanim jeszcze wyszedł z lasu.

Wśród drzew rosnących w jarze rymy dawały się słyszeć jak szum lekki, tajemniczy, niosący się z oddali. Dobiegały nie tylko do uszu, lecz i do duszy człowieka. Szum wiatru w liściach lub szum strumienia mieszał się z tym szumem słów. Szum albo szept raczej, w którym słyszał czasem wabienie – idź do źródła skąd płyną tajemnice.

Czasem ogarniał go lęk przed tymi głosami. Tłumaczył sobie, że nie musi podążać do żadnego ukrytego źródła, że rozumie wszystkie głosy lasu, a także głosy, które dobywały się z dna duszy.

Znał źródło swego żalu. Pozwalał mu pulsować, ale nie chciał odgarniać liści, które spadły na wodę w tym źródle. Nie chciał zagłębiać się w przebrzmiałe rozmowy, pozwalał im jednak sączyć się z dna pamięci. Pozwalał, by dobiegał go cichy płacz, którego on, Józef, nie zdołał utulić. Pozwalał otwierać się zakamarkom pamięci, w których tętnił żal.

W ciemnym jarze nie słychać było głosu dzwonów, bo dzwonnice były daleko za lasami. Ptaki śpiewały też jakby ciszej. Józef wierzył jednak, że cisza jest mu przyjazna. Znał swój las dobrze, był przecież jego strażnikiem. W kościelnej łacinie, w dokumencie jaki otrzymał z klasztoru, dla którego pracował, nazwano go „prefectus silvarum”. Wszystkie drzewa, także i te w mrocznym jarze, a więc jakby bardziej poważne czy nawet

smutne, były mu powierzone. Las był dlań powiernikiem jak i on dla lasu.

W jarze wiersze nachodziły Józefa najczęściej. Były zwykle smętne, jakby zanurzone w mroku, który go zewsząd otaczał po śmierci żony. Nawet śmiech dzieci, ich zabawy, nie zawsze potrafiły rozweselić wdowca. A kiedy każde z dzieci odchodziło po kolei z domu, zakładało własne rodziny, smutek opanowywał go jeszcze podczas wesela. I dlatego lubił las, lubił stare drzewa, nie tylko te młode, które sadził w okolicy własnymi rękami, o które dbał. Nazywał je swoimi, bo były jego, jemu zawdzięczały życie. Szedł ogarnięty smutkiem do tych starych drzew, pamiętających ludzi, których wcale nie znał, a którzy zapuszczali się do jaru dużo wcześniej niż on go oswoił. Nim zaczął budować z okolicznych kamieni leśną kaplicę, modląc się o łaskę radości.

Wierzył, że radość przychodzi z wiosną. Tak do młodych jak i do starych drzew. Do roślin i do ludzi. Radość, której nie mógł nazywać radością lata. Sądził, że lato jest nie dla niego, że go pominęło. Dojrzałego życia nie potrafił utożsamiać z dojrzewaniem zbóż. Odkąd zabrakło mu towarzyszki życia, odkąd sam musiał troszczyć się o dorastające dzieci, niecierpliwie czekał na każdą wiosnę. Tylko wiosna budziła w nim nadzieję odmiany, radość życia. Ale głos lasu nie był wyrazisty.

Tego dnia, 19 marca 1907 roku, myślał o wiośnie. I mówił do

siebie – czemu lata nie zaznałem, choć doń tyle razy wzdychałem; takie losu mego przeznaczenie, nie mając przed kim zwierzyć me cierpienie, wiośnie raz tylko zwierzyłem się o tem, której ufałem tak przed tem jak potem.

Myślał o tym wszystkim co się zdarzyło od przedwczesnej śmierci żony. O powrotach pór roku, o wiecznym upływie czasu. O tym, że niedługo znowu trzeba będzie zająć się pszczołami. Myślał o tych swoich pracownicach, które wymagały opieki nim nazbierały miodu, by go mógł sprzedać i zapewnić sobie dodatkowy dochód, skromny ale ważny, bo jego pensja leśnika nie wystarczała na utrzymanie, na ubrania dla dzieci, na ich edukację.

Myślał coraz rzadziej o Jadwidze, zmarłej żonie, a coraz częściej o Helenie, córce przyjaciela, również leśnika.

Miał wyrzuty sumienia z powodu tych nowych myśli. Wyrzucał sobie każdą wizytę u Ludwików. Wyrzucał sobie pocałunek, na który pozwolił sobie po latach znajomości z Heleną. Ułożył wiersz o tym pocałunku, bo wiersz wydawał mu się mniej jego własną, a bardziej cudzą wypowiedzią, jakby opisem czyjegoś, nie jego własnego doświadczenia. Wspominał wiersze Słowackiego, zwłaszcza ten fragment „Balladyny", w którym Goplana mówi do Grabca: *Pocałowanie to ślub dla czystych dziewic, na dziewiczym wianie za każdym pocałunkiem jeden*

listek spada. Ale odpowiadał sobie wierszem Szymonowicza, w którym także mowa o pocałunku: *Marna rzecz całowanie; ale w tej marności są też swoje przysmaki, są swoje słodkości*. W swoim własnym wierszu usprawiedliwiał się dlaczego pocałował w usta, a nie w policzek. Skarżył się przy okazji, że usta panny były zimne. I, że była *trzpiotką.* I, nim uciekła *jak dziki kotek,* powiedziała – wesoło, w buzię, z boku, w oczek dwoje, na to chętnie zgodzę się, pozwolę… ale w usta… to… nie higienicznie.

W wierszu przyznał się też, że zawsze całuje w usta, więc tego jednego całusa nie można traktować wyjątkowo… choć był wyjątkowy. Takimi rymami bawił się jakby miał lat kilkanaście, a nie, bagatela, ponad pięćdziesiąt. Cóż, usta panny nie były chyba aż tak zimne. Może jeszcze tego dnia 1907 roku nie wyobrażał sobie, że będą cieplejsze. Może był zajęty budowaniem kaplicy, znoszeniem kamieni, które znajdował w lesie. I modlił się o zmianę losu, jednocześnie wyrzucając sobie te modlitwy.

Wiersz „z jaru" zatytułowany był „Skarga". W jarze myślał o minionych latach. Nim przeszedł od skargi do całusa, przeżył jeszcze jeden rok, znowu spoglądał na pracujących w polu rolników i sam zbierał z uli miód. *Już kłos dojrzały powiązany leży, zagonów skiby czernieją od słońca, a lud spracowany rad by dnia końca doczekać i wrócić do domu, do swego ogniska, bo tam zawsze można pełnię sił odzyskać… ja jednak nie mam po co wracać do swej chaty, bo wiatr jesienny rozwiał przed laty żar,*

który ktoś wzniecał, ktoś umiał podtrzymać. Tak pisał w marcu 1907 roku, w głębokim jarze, na którego dnie leżał jeszcze śnieg.

Drugi wiersz o pocałunku został zanotowany 9 marca 1908 roku. Ale i wtedy nie wiedział jeszcze, że panna Helena mu naprawdę przeznaczona. Nie wiedział, że rodzina Ludwika jest bardziej przychylna jemu niż o wiele młodszemu od niego adoratorowi. Nie przypuszczał, że może być jeszcze raz w życiu w pełni szczęśliwym.

Zabiegał o rękę pięknej Heleny przez czternaście lat. Postanowił nie żenić się nim którekolwiek z dzieci z pierwszego małżeństwa nie ułoży sobie życia. Czekał. Chodził po lesie, zaglądał do leśniczówki w Kozłowie. Pisał wiersze. Doglądał pszczół, sadził drzewa. Miał nie tylko kogo, ale i co kochać.

Lasy klasztorne były ogromne. Wieś Gawareczyzna była położona daleko od innych wsi, a do najbliższego miasta, Białego Kamienia, było pięć kilometrów. Wieś zamieszkiwali biedni gospodarze, przeważnie Rusini, i jedna rodzina żydowska. Zajmowali się garncarstwem, uprawą roli, korzystali z darów lasu. Józef nie był bogaty, ale pomagał biedniejszym od siebie sąsiadom. Starał się sprzedawać miód i inne wyroby pszczelarskie, ale tym, którzy nie mogli zapłacić, dawał je za darmo. Tak samo jak nabiał i zioła. Nikt, kto tego potrzebował, nie odchodził z leśniczówki z pustymi rękami. Las był przecież

dla wszystkich, darzył zawsze szczodrze, więc nie można było skąpić tych darów.

Las też darzył zdrowiem. I siłą. Taką, jak siła starych drzew rosnących w jarze. I tych młodych, które sadził, a które rosły szybko, zieleniły się coraz bardziej obficie. Z każdą wiosną dziwiły swego opiekuna wspanialszym listowiem. A w jesieni, tej smutnej, bezlistnej jesieni, wspanialszymi, nagimi konarami.

I jemu, Józefowi, sił i zdrowia nie brakowało. Był, mimo upływu lat, jak mocne drzewo, którego nie ugnie byle wiatr, którego gałęzi nawet piorun łatwo nie odłamie. Żył życiem lasu, który wie jak przetrwać, byle człowiek mu nie zagrażał. Byle nie budował zbyt wielu dróg w tym lesie, ani zbyt wielu domów. Obce mu były kłopoty opiekunów miejskich parków, w których trzeba wycinać co roku jakieś drzewa, usychające przed czasem. Pilnować, by nie niszczono kwiatów i krzewów. Miał inne troski.

Ze swymi troskami zwracał się do Stwórcy, który mieszkał nie tylko w murowanych świątyniach. Do tego, któremu ufał, iż nie zaniedbuje go, jak on nie zaniedbywał lasu. Choć nie przestępował kamiennych progów miejskich świątyń tak często jak nakazywał kościelny obyczaj, to jednak często modlił się sam, bez pomocy kapłanów. I tylko uważał, by modlitwy wznosiły się wysoko, jak przystało, ponad wszelkie korony, także i te najwyższe korony drzew. Na wszelki wypadek wyznaczył sobie

pokutniczą pracę zbieracza kamieni. Budował własną świątynię, własnymi rękami. Tak, jak zawsze chciał zbudować swój dom. Ale nigdy nie stać go było na zakup materiału. Więc mieszkał w podarowanej mu na czas pracy leśniczówce, a wznosił dom Bogu, z tego co miał pod ręką, o co nie musiał wypraszać u zakonnic. Nie musiał też tłumaczyć nikomu po co buduje ten dom, a nie inny. Żył po swojemu.

I kiedy panna Helena odżałowała odejście młodego narzeczonego, zaczął drugie życie. Wychował jeszcze dwoje dzieci. Był znów szczęśliwy.

Józef, mój pradziad, zmarł 9 maja 1936 roku, a więc pod koniec wiosny. Podczas drugiej wojny światowej znikł jego grób w Białym Kamieniu, ale do dziś istnieje leśna kaplica w miejscu, które okoliczni mieszkańcy wyznania grecko-katolickiego nazywają Sawicka Góra. Urządzają tam pielgrzymki i wierzą, że źródło bijące w kaplicy ma moc uzdrawiającą.

Nieobecni są najbliżej



Ks. Jan Twardowski, fot. znak.com.pl.

Barbara Gruszka-Zych

Do dziś przechowuję jeden z najcenniejszych dla mnie listów. Napisał go ks. Jan Twardowski po przeczytaniu moich tekstów poetyckich.

Te wiersze są proste, pisane bez zbędnych udziwnień. Myślę, że łatwo mogą trafić do czytelnika. Byłam szczęśliwa, że taką opinię

wydał mi ten, który pisał najprościej jak tylko można. I dzięki temu trafiał do milionów czytelników. Bez wątpliwości można powiedzieć, że przez ostatnie 20 lat był najczęściej wydawanym, czytanym i cytowanym polskim poetą. Ale kiedy odwiedzałam go z przyjaciółmi w kościele Sióstr Wizytek przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, nie wiem, czy z kokieterią, czy prawdziwym niedowierzaniem – pytał tym swoim cichym głosem przechylając głowę:

> I tak naprawdę mnie czytacie? Inni też? Naprawdę wam się to podoba? A przecież te moje wiersze takie tam…

Przez lata nie był drukowany. Na jego tomikach nie pojawiała się też informacja, że jest księdzem. Nie tylko ze względu na ograniczenia minionego ustroju. Taka była też wola, żeby – jak nam mówił – nie narzucać czytelnikowi odbioru. Przecież czytali go również niewierzący. Bo w swoich wierszach nie pouczał, nie prawił morałów, nie straszył piekłem, a nawet się usprawiedliwiał: *nie przyszedłem pana nawracać*. – Wiara moja, jak i innych ludzi, podobnie jak niewiara, wydaje mi się tajemnicą – powiedział w jednym z wywiadów.

Urodził się w Dniu Dziecka, 1 czerwca w 1915 r. w Warszawie. Może dlatego tyle potem pisał o dzieciach. *Być na piątkę obiecuje, a z piątego piętra pluje* – uczyli się na pamięć moi

jeszcze mali synowie fragmentów z jego „Patyków i patyczków” (dziś mają po kilka tych książek z cennymi dedykacjami Autora, pisanymi drobnym pismem: „Kochanemu Tymkowi”, „Drogiemu Błażejkowi”).

Dla twórcy „Znaków ufności” ważne były lata gimnazjum, szczególnie zajęcia z nauczycielem biologii – Władysławem Kociejowskim, który kazał mu prowadzić zielnik i uczył nazw roślin. Potem w swojej poezji ze znawstwem przywoływał „po imieniu” jesion, czeremchę, wiąz. Pasjonowała go też literatura. Jeszcze przed wojną, pod wpływem Józefa Czechowicza, wydał pierwszy tomik „Powrót Andersena”. Rozpoczął studia na polonistyce, był uczniem słynnego prof. Wacława Borowego. Podczas okupacji wstąpił do AK, brał udział w Powstaniu Warszawskim. W Radomiu, po spotkaniu z rodzicami postanowił, że pójdzie do Seminarium. Polonistykę skończył w 1947 r., święcenia przyjął w rok później. Był też związany z Katowicami. Tu przez długie lata mieszkała przecież jego siostra. Tutaj w „Odrze” drukował swoje wiersze pod pseudonimem Antoni Derkacz:

> O najdroższa! Pod tej fary wieżą,
>
> przy jabłoni siedem kroków w bok,

> w szkłach rogowych księża nie dostrzegą
>
> jak ust blisko włosów twoich lok
>
> („O tej łzie co na końcu spadła”).

Jego pierwszą parafią był Żbików, gdzie pracował w szkole specjalnej. W 1950 r. z Pliszowa pisał do poety Jana Ożoga:

> Myślę, że nigdy nie należy czynić z poezji najważniejszego problemu swojego życia – trzeba umieć postawić ją w odpowiedniej proporcji do innych spraw.

I to przesłanie starał się realizować zarówno w latach 60., kiedy nie wydano żadnego tomu jego wierszy, jak i w latach 90., kiedy ten sam jego wiersz publikowano jednocześnie w czterech różnych wyborach poezji, i gdy tłumaczono go na różne języki.

Zawsze zwracał uwagę przede wszystkim na innych. Kiedy razem z przyjaciółmi z warszawskiej polonistyki na początku lat 80. chodziliśmy go odwiedzać w zakrystii kościoła ss. Wizytek, gdzie był rektorem, zawsze znajdował dla nas czas. Przychodził nieodmiennie w sutannie, wysoki, w rogowych okularach jak z

wiersza, ze skromną, ortalionową siatką w dłoni. Przynosił w niej swoje poezje, a raz zapiski o przyjaciółce, przedwcześnie zmarłej Annie Kamieńskiej (powtarzał, że była świetną poetką religijną, zachęcał do jej czytania, mówił, że musi poświęcić jej wspomnienie). To właśnie w odpowiedzi na jej wiersz napisał: *Śpieszmy się kochać ludzi tak szybko odchodzą*. Uczyliśmy się tego utworu na pamięć i omawialiśmy na lekcjach w ramach praktyk studenckich jeszcze zanim włączono go do podręczników szkolnych. (Na początku lat 90. te słowa znalazły się – jako swoiste memento – w wielu nekrologach). Zapraszał, żebyśmy usiedli, pytał skąd jesteśmy, jak długo jechaliśmy, czy jesteśmy zmęczeni i głodni. Interesował się każdym z osobna, zapamiętywał nasze imiona.

Kiedy po latach odwiedziłam Poetę ze starszym synem, Tymek był zdziwiony, że dobiegający 90. Ksiądz pamięta dobrze mnie, moje koleżanki i kolegów: Zuzię, Jolę, Andrzeja. (Sam uczył się cytatów z jego wierszy: *Bo pozwalają patrzeć na świat z optymizmem* – mówił.) Rozmawialiśmy wtedy o nienawiści, przebaczeniu i miłości. Ksiądz powiedział, że codziennie rano podczas modlitwy powinniśmy oczyszczać się z uprzedzeń do ludzi. *Moja nienawiść żywi drugiego, ułatwia mu nienawiść* – ostrzegał.

> Ocalić nas może miłość. Ale nie tylko samo uczucie

> zakochania, ale troska o drugiego, opieka, wyjście poza siebie do kogoś. Ona jest najważniejsza, bez niej nie ma całego życia.

Zwykle do „jego” konfesjonału ustawiały się kolejki. Niektórzy żartowali, że Ksiądz jeszcze zanim wysłucha, już daje rozgrzeszenie. Tak wierzy w Boże Miłosierdzie i tak docenia wszystkich, którzy przyszli wyznać swoje winy. W wierszu „o kościele” pisał, że to miejsce, gdzie musiał *stale chować się do konfesjonału, któremu stale odrastają uszy*, i gdzie modlił się, *żeby nigdy nie być ważnym*. A przecież musiał wiedzieć, otoczony miłością czytelników, że ta ostatnia modlitwa nigdy nie została wysłuchana.

Dziś wybór Jego wierszy nie przez przypadek otwiera się na słowach: *przecież tylko nieobecni są najbliżej* („o nieobecnych”).

Florian Śmieja. Wiersze z tomu „Dotykanie świata”.



Leszek Wyczółkowski, Time, grafika, 30×60.

W listopadzie 2016 r. ukazał się tom wierszy prof. Floriana Śmieji „Dotykanie świata”. Jest to podróż przez myśli, obserwacje i emocje z całego życia poety, począwszy od utworów z tomu „Czuwanie u drzwi” wydanych w roku 1953 aż po najnowsze. Promocja tomu wierszy Floriana Śmieji miała miejsce w Konsulacie Rzeczpospolitej Polskiej w Toronto, 22 listopada 2016 r.

Florian Śmieja

MINIBIOGRAM

W dzień mych urodzin nikt z armat nie strzela

chodząc ulicą nie budzę sensacji

na fluktuacje światowego rynku

nie wpływa wcale stan mojej wątroby.

Jak wielu innych pod uśmiechem skrywam

nieużywane pokłady czułości

czekam na właściwy telefon, na list

wyglądany od dawna, przyjaciela.

Taki to sporządziłem minibiogram

gdyby gdzieś miano wydać autentyczny

informator *Kto jest kim między ludźmi.*

***

ZANIM

Zanim ogarnie mnie zobojętnienie

a każda ma odpowiedź zabrzmi: po co?

chciałbym jeszcze podeprzeć kruchą gałąź

podtrzymać skrzydło zmęczonego ptaka

dziecku dać uśmiech, spragnionemu wody.

Nie zbuduję już grodu, dodam kamyk

zdrowia nie wrócę śmiertelnie choremu

lecz nie odmówię ciepłego dotyku

dobrego słowa, ufnego spojrzenia

drobiny światła przed idącą nocą.

***

NIEWAŻNE

Nieważne jest miasto do którego lecimy

Toronto, Los Angeles, albo Honolulu,

bo i tak pamięć zaszłego nas nie opuści

nie przepadnie tęsknota, żal się nie odmieni.

W sobie przecież niesiemy płomień najważnjejszy,

którego nie wystudzi dystans, ani zmiana,

żegnania w południe czy rozłąka północą.

***

OREGON

Kiedy drzewo traci walkę o byt

nie zawsze się załamuje

często pogruchotane stoi dalej

odarte z kory, pozbawione korony

trwa na miejscu uparcie

korzenie nie puszczają ziemi

pień zanim się w proch rozkruszy

by urzyźnić glebę

nadal daje schronienie

oparcie ptakom i owadom.

Dlatego las nie umiera.

***

PRZYSTANEK

Kiedy po drodze

przystanę, by się pochylić

nad małą kępką trawy

pytają się spieszni kierowcy

co on tam zgubił?

Pieniądze? Zegarek?

A to oni sa stratni.

Ja znajduję moment skupienia

ofertę zieleni

a czasem, gdy się poszczęści

czterolistną koniczynkę.



Leszek Wyczółkowski, Golden Moments, grafika.

***

DIOGENES

Szedł mozolnie, wytrwale

próbował białą laską.

Chodził w kółko, choć padał

deszcz i bryzgały pojazdy.

Był ociemniały. Liczne

śledziły go oczy, bo osób

dokoła było bez liku.

Ale pomocy nie było.

W końcu pojawił się chłopak

wziął go łagodnie pod ramię

i poprowadził z powrotem.

O jak radośnie wywijał

białą laską, meldował,

że można znaleźć człowieka.

***

PISARZ EMIGRACYJNY

Miał kiedyś pisarz emigracyjny

komfort dystansu, który izolował

a patrząc z dala nie dostrzegał trywiów

ani nikczemnych ciosów niżej pasa.

Mógł się zajmować szerszą perspektywą

ogólną panoramą, widokami z góry.

Technologia nam zniosła przestrzeń

i na ekranie poznać każdą zmarszczkę

naszych idoli oraz adwersarzy.

Lecz jak w tej ciżbie odróżnić warhoła

od lojalnego obywatela, kto nie na szaniec

lecz na wiece, rozpoznać pospolite

ruszenie od zadymy? Emisariusze

wszelkiej prywaty zdolni przez Atlantyk

wieźć swoją bibułę. Za późno

coś robić na pochwałe grodu,

sprywatyzowany ma różnych kasztelanów

którzy się wiecznie wadzą o swoje trybuty.

***

MARNOŚĆ

Jeżeli ludzkie przekonania to piasek,

który wiatr rozwieje, to co są warte

konfabulacje otwartego człowieka

chcącego pojąć zawiłości świata

a mężnie zachować się wobec bytu?

Czy na darmo trudzi się kontemplacją

I w samotności przpędza swój żywot?

Marność nad marnościami ostrzegało

Pismo od wieków acz z niewielkim skutkiem.

Pozostawiając nam wszystkim nadzieję

mędrzec podpowiada, by z nędzy bytu

wykrzesać to, co tą nędzą już nie jest.

***

DOTYKANIE ŚWIATA

Dotykanie świata obyło się bez

mierzenia sił na zamiary. To raczej

zrządzenie losu, co bosego malca

ze śląskiej nadgranicznej prowincji wiódł

w labirynty niespodziewane, potem

bezpiecznie przez zawieruchy prowadził

po złudne laury i honory świata,

o którym synek z Kończyc skrycie marzył.

Florian Śmieja, Dotykanie świata, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto-Rzeszów 2016 r.

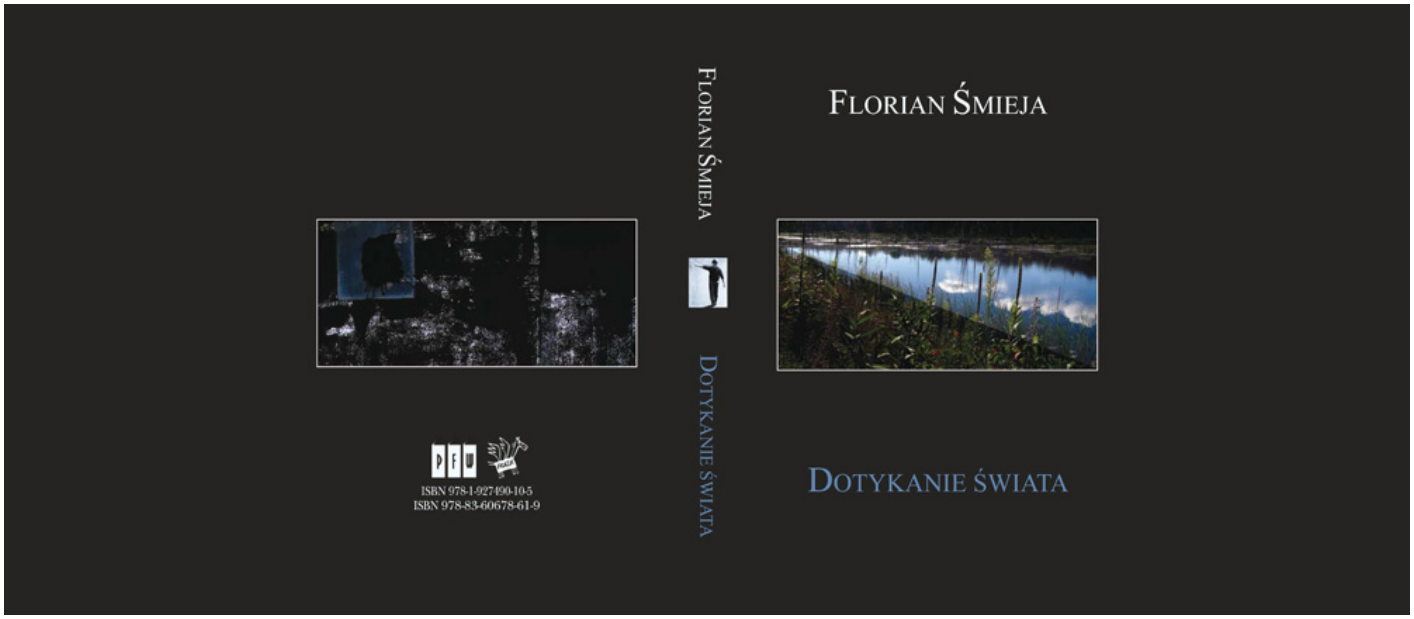

Obłąkane wiersze Rafała Wojaczka

Florian Śmieja



Rafał Wojaczek, fot. Instytut Mikołowski.

We Wrocławiu nieraz chodziłem na sąsiadujący nieomal z Hotelem Asystenta, w którym mieszkałem, cmentarz św.

Wawrzyńca, aby w jego ciszy pomedytować nad granitowym głazem mogiły Rafała Wojaczka.

Nie brak wśród poetów postaci tragicznych, fatalnych, ofiar ciemnego losu. Dawniej bywała nim choroba podcinająca młode skrzydła, na którą nie znano lekarstwa. Później zdarzały się wypadki, gdy artyści śmierć sobie zadawali sami, nieraz z premedytacją, dzieląc się swoimi zamiarami z publicznością, orkiestrując w pewnym sensie swoją śmierć na oczach wielbicieli i współtworząc jeszcze za życia własny mit. Do takich postaci zaliczymy Rafała Wojaczka (1945-71).

Urodził się w Mikołowie pod Katowicami w 1945 roku w rodzinie nauczycieli. Mieszkanie dzięki pietyzmowi lokalnych miłośników literatury, jest dziś centrum kultury, gdzie odbywają się odczyty, wieczory autorskie i wystawy. Szkołę średnią ukończył w Kędzierzynie, zapisał się na filologię polską w Krakowie, ale zrezygnował po jednym semestrze. Zamieszkał we Wrocławiu próbując utrzymać się z pióra. W 1966 roku ożenił się z pielęgniarką, którą poznał w klinice psychiatrycznej. Miał z nią córkę Dagmarę, lecz małżeństwo się wnet rozpadło. Wojaczek zmarł tragicznie ll maja 1971 roku we Wrocławiu.

Piotr Kuncewicz w historii poezji ostatnich dekad dodaje:

> Właściwie samouk, obarczony jakimiś pokrętnościami psychicznymi, bardzo zdolny i przystojny, a na dodatek od początku cieszący się literackim powodzeniem. Chuligan i lump, zdeklarowany alkoholik, awanturnik popadający w konflikty z prawem, pacjent szpitala psychiatrycznego, a równocześnie błyskotliwy talent i osobowość mistyczna, pogrążona w rozpamiętywaniu mroków świata i nieuchronności śmierci.

Ileż to razy słyszymy ostrzeżenie, by nie łączyć twórczości z życiorysem twórcy, że to są dwie różne sprawy, że dzieło oddziela się od swojego autora. A przecież sam Wojaczek napisze:

> …Poetą się jest. Jest się nim żyjąc. Zaś bywa się czasem skrybą, czyli grafomanem. Bywa się nim wtedy, kiedy braknie siły, by dźwigać ciężar swego życia. Wtedy ucieka się do ogródka sztucznym sposobem ogrodzonego i sadzi się smętne kwiatki na schludnej grządce…

Zdaje się też mówić to samo w dystychu: „Nie myślą o Bogu,/tylko szukają sposobu!”

W autobiograficznym poemacie prozą „Sanatorium” Wojaczek rozszczepiał swojego protagonistę, którym był sam, na dwie persony: przedstawianego in actu Sobeckiego (pamiętamy, że takim nazwiskiem, nazwiskiem panieńskim matki, Wojaczek się nieraz podpisywał) oraz Piotra, jego krytyczne alter ego (imię trzeźwego inspicjenta nie bez kozery jest tutaj imieniem starszego brata). Pierwsza z nich to Rafał Wojaczek, który działał, druga – rzeczowy obserwator jego postępowania.

Edward, ojciec Rafała, słowami syna, „miał wiele z jego powodu zmartwień”. Pochodzący z chłopskiej rodziny ojciec ciężką harówką zdobył wykształcenie, był później powstańcem śląskim, kacetowcem i nauczycielem licealnym. Z niepokojem obserwował poczynania syna, z troską tym głębszą, że sam w młodości miał okres trudny, z którego się jednak wydobył. Wychodził z pokoju, kiedy Rafał umyślnie przechwalał się swoim trybem życia. Ale materialnie mu pomagał i jeździł do niego, choć często ich spotkania kończyły się sprzeczką.

Rafał (trzeźwo myślący Piotr w tekście) zapisze: „A przecież obaj dążyli do spotkań i przez pewien czas wspólnej obecności umieli cieszyć się nią”. Potem jednak wybuchały zrozumiałe scysje. Ojciec wyjeżdżał rozdrażniony do swojej szkoły, syn, słowami Wojaczka, „do swej literatury, do swoich obłąkanych wierszy…” I przyznawał, że każdemu szło o obowiązek, że obaj mieli rację. Syn miał rosnące poczucie winy. Ojciec natomiast często czytał

utwory syna szukając w nich dowodu na patologię, ale był również doskonałym krytykiem tych wierszy, choć ogarniał go strach widząc, dokąd to wszystko mogło prowadzić. Kiedy z czasem dochody ojca stały się skromniejsze, a widmo starości kazało mu oszczędzać, skończył hojne dotacje dla syna, którego reakcję, pewne zniechęcenie w miejsce dawnej pasji, poczytywał za wychodzenie z nieszczęśliwej sytuacji psychicznej.

Jeżeli tak układały mu się stosunki z ojcem, a nie pomagała im wcale lektura pamiętników Kafki, to jakie miał stosunki z matką? Listy, które do niej pisał, były jedną serią komplementów i próśb o paczki. Ale w innym tekście Wojaczek-Piotr opowiada nonszalancko o zachowaniu się Wojaczka-Sobeckiego względem matki.

> O nieszczęsna matko jego, która mu zawsze, kiedy tylko sposobną ku temu znalazła okazję, powtarzałaś: Synku, pamiętaj, szanuj się! A miałaś na myśli zarówno zdrowie jego, o które nie dbał ku wielkiemu twemu utrapieniu, a także nadwerężeniu finansowemu, jako że będąc młodym poetą nie korzystał z dobrodziejstwa ubezpieczenia społecznego i za lekarstwa, jakich sobie żądał na chorobę, musiałaś płacić stuprocentową należność; a przede wszystkim, powiadając tak do niego, myślałaś o jego opinii u ludzi, którą szargał sobie niebywale. I oto za to, że żadnych

wymagań w stosunku do niego nie miałaś poza tym jednym, aby czasem doniósł ci o sobie; za to, że dbałaś, by ubrany chodził jak człowiek; że baczyłaś, by miał się w co ubrać ciepło, by skarpetki miał całe, by gacie miał czyste, by nie chodził w dziurawych butach, by rękawiczki miał na zimę oraz szalik ciepły, by koszule miał choć dwie na zmianę, by miał płaszczyk odpowiedni na chłody, by chustek do nosa stosowną zawsze miał ilość, by spodnie mu nie przeświecały na tyłku, by marynarka była nie przetarta na łokciach, by sweter miał i piżamę i papucie; za to, że mu paczkę co tydzień posyłałaś, by mu nie brakowało kawy, herbaty, cukru i papierosów, by masła używał, by sera podjadł, by kiełbasą się posilił; za to, że o pościel jego dbałaś, o czysty ręcznik i o to, by mu mydła nie zabrakło oraz pasty do zębów; za to, że troszczyłaś się, czy ma dobrą szczoteczkę do tychże, grzebień do włosów i wodę kolońską dla powabu; za to, że dbałaś, by mu papierosa do pisarskich potrzeb nie zabrakło; za to, że żebrałaś o ten papier u znajomych maszynistek; za to, że mu dostarczałaś ołówków, gum, notesów, zeszytów, spinaczy, kleju i wszelkich innych przyborów kancelaryjnych; za to, że opłacałaś za niego mieszkanie, że grzywny płaciłaś tak, był ojciec się nie dowiedział, że pokrywałaś sumy nakazów płatniczych kolejowych i komunalnych rozumiejąc, że musiał jechać, choć nie miał pieniędzy; że wykupywałaś go z aresztu, że comiesięczną sumę alimentów na córkę, której znać nie chciał, posyłałaś; że pisałaś do niego listy

> zawsze mając dlań słowa pociechy w trudnym życiu jego; za to, że byłaś najlepszą matką mimo jego oszczerstw, jakie na ciebie ciskał, jakie odważał się, sprytnie ująwszy w wierszowaną formę, cynicznie podawał do publicznej wiadomości na ból twój i rozgoryczenie; za to, że mu nigdy bólu swego i rozgoryczenia nie okazywałaś, okazując jedynie troskę o to, by mu się jak najlepiej wiodło w niewdzięcznej pracy literackiej; za to że go do uzdrowisk wysyłałaś, opłacając pobyt; że go zabierałaś do Kazimierza i Kołobrzegu, do Połczyna i Iwonicza, by odetchnął, by sił nabrał, a on się na wstyd i pośmiewisko narażał, w awantury się wdając i wszczynając burdy; za to, że był twoim synkiem najukochańszym, najlepszym, zawsze oczekiwanym, hołubionym, obsługiwanym; za to wszystko tak ci się odwdzięcza, szargając nazwisko i dobre imię matki Polki, w podejrzenie podając twoją troskę, twój trud włożony w jego wychowanie, w kształtowanie jego obywatelskiej postawy, zaufanie podważając w twoje poczucie obowiązku i w twoją miłość matczyną, jedyną, cierpliwą, wierną i wieczną.

W jednym z najczęściej cytowanych wierszy Wojaczka pojawiły się splecione razem ważne w jego poezji postacie Matki Boskiej, Polski i matki:

> Matka mądra jak wieża kościoła

Matka większa niż sam Rzymski Kościół

Matka długa jak transsyberyjska

Kolej i jak Sahara szeroka

I pobożna jak partyjny dziennik

Matka piękna niczym straż pożarna

I cierpliwa jak oficer śledczy

i bolesna jak gdyby w połogu

I prawdziwa jak gumowa pałka

Matka dobra jak piwo żywieckie

Piersi matki dwie pobożne setki

I troskliwa jakby bufetowa

Matka boska jak Królowa Polski

Matka cudza jak Królowa Polski

Miał starszego o 12 lat brata. Podobnie jak o matce ironicznie, Wojaczek opisuje go w tymże tekście raczej kąśliwie:

> Pan inżynier, odpowiedzialny pracownik wojewódzkiego urzędu, mający pod swoją pieczą sprawę czystości powietrza, którym oddychają obywatele, mąż żony swej Elżbiety, pracownicy naukowej, zajmującej się zagadnieniem czystości wód, w których ryby żyją na pożytek obywatelom; pan inżynier, właściciel samochodu marki trabant, dbający o niego i myjący go co sobotę przy użyciu gąbki, a także specjalnego szamponu dla samochodów, dbający także o czystość i porządek w mieszkaniu, przy czym dbałość ta z czasem przerodziła się w chwalebną manię o podłożu paranoidalnym, przez co ani jeden najmniejszy pyłek nie miał prawa bytu na rozległych i znakomicie wypolerowanych płaszczyznach parkietu; pan inżynier, prowadzący tryb życia rozważny, w ten sposób, by każda chwila procentowała godziwą gotowizną, nie mogący poświęcać zbyt wiele czasu lekturze, gdyż zmuszony zarabiać na samochód, na benzynę do niego, na dom, na reprezentację, wolne chwile, jakich niezmiernie miał mało, poświęcający pracy w przydomowym ogródku, hodowaniu truskawek, pietruszki i róż;[…] Piotr nocą przechodząc pod oknami domu, w którym brat jego odpoczywał po znoju dnia powszedniego, dla bandyckiej i wysoce niespołecznej fantazji budził śpiącego oraz żonę jego,

> kamieniami tłukąc szyby w oknach…więc pan inżynier ze snu i tak niestety niespokojnego wyrywany tak brutalnie ruszał w pościg za złoczyńcą, co było o tyle łatwe, że Piotr wcale nie zamierzał uciekać, najczęściej z powodu swego stanu nie zdający sobie sprawy z zaistniałego faktu….

Był jeszcze młodszy brat, aktor, Andrzej. Trzeźwy młodszy brat, wedle określenia poety. Pamięta on swojego trudnego brata z niechęcią. Bo był źródłem niekończących się cierpień rodziny, źródłem różnych wieści, autorem szokujących obrazów w wierszach. Napełniał bezradnością i lękiem o przyszłość. Rafał, owszem, cierpiał, ale i swoim dostarczał cierpień, więc w końcu podziw dla artysty ustępował złości wobec zarozumiałego sprawcy nieszczęść własnych i cudzych.

W liście do Stefanii Cisek, dopiero niedawno ujawnionym we fragmentach, Wojaczek się spowiada:

> …Doszło do tego, że boję się siebie samego. Nie wiem jak się w pewnych sytuacjach zachowam. Wtedy – 10 września (1964) – wziąłem żyletkę, przeciąłem tętnicę i odkręciłem kurki gazowe. I obudziłem się na stole operacyjnym… Buduję więc na nowo gmach złudzeń – ale buduję na piasku, nędzne to podwaliny.

> To jest okropny stan – świadomość, że w każdej chwili można ponownie chwycić żyletkę. Teraz wychodzą na jaw idiotyzmy teorii o rzekomej „wolności” człowieka. Trzeba mieć zawsze jakieś ponad subiektywne, nadrzędne normy – trzeba mieć cel!

Tak jak w swoim dzienniku-pamiętniku „Sanatorium”, Wojaczek czasem pisał wiersze sobie je dedykując, które mówiły o tzw normalnym życiu, którego unikał. Oto fragment jednego z nich, gdzie wylicza swoje możliwości:

> Mogąc mieć swoją gwiazdę i manierę własną
>
> I przy pewnych dochodach mieć jeszcze dość czasu
>
> Aby kochać miłością w dobrym tonie smutną
>
> Ale pożywną, jakąś dziewczynę niegłupią
>
> Studentkę filologii albo medycyny
>
> Zamożną z domu, ładną, z gustem oraz czystą –

> Ty mogłeś być poetą. Ale ciągle 'nie’
>
> Uparcie powtarzając dziś nie wiesz, kimś jest!

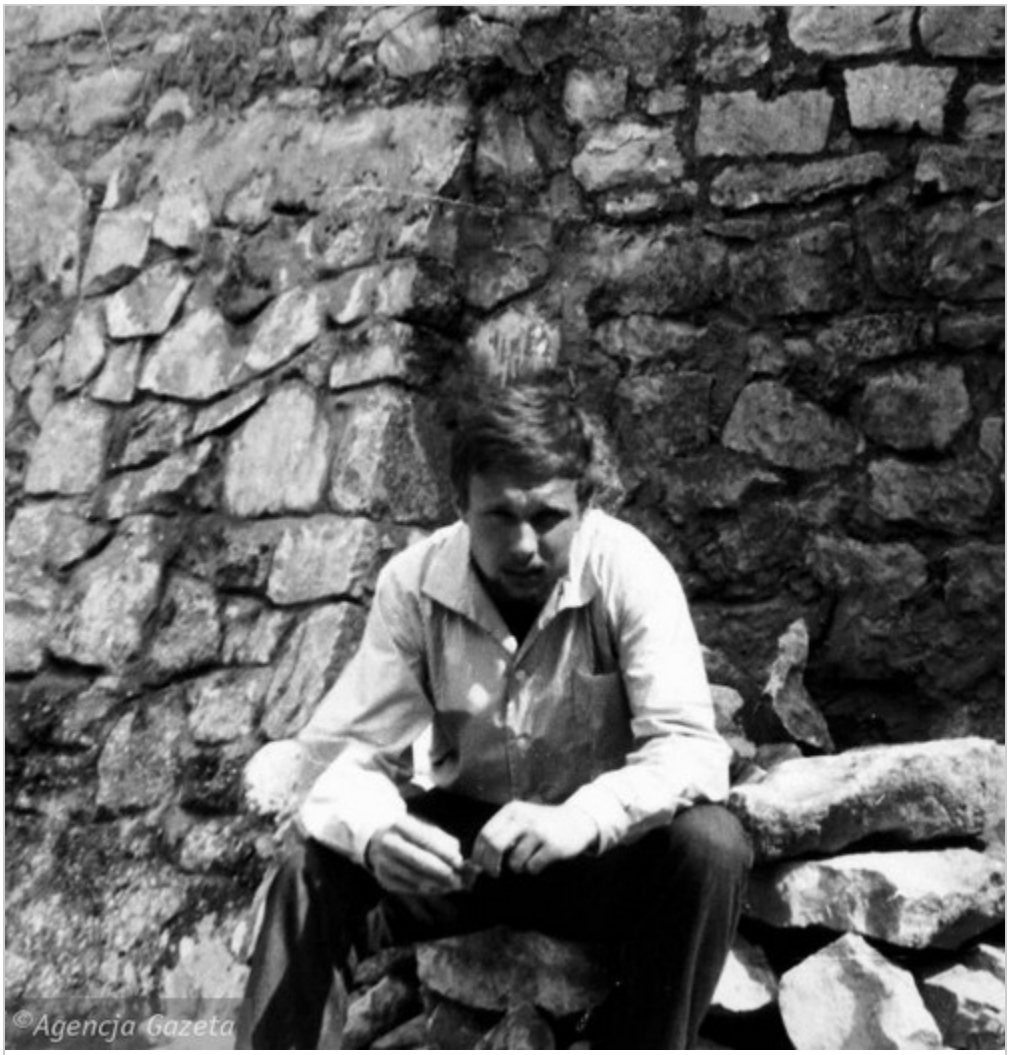

Rafał Wojaczek, mat. arch.

Tymoteusz Karpowicz, który Wojaczka znał i czuwał nad jego wczesnymi poetyckimi krokami, we wstępie do „Utworów

zebranych” wydanych przez Ossolineum wyjaśnia, że życiowy wybór Wojaczka był osobisty i trzeźwy, że nie było żadnych przyczyn, by eksperymentować ze zdrowiem, wybierać tradycję lumpa ani alkoholika. Jego szaleństwo skierowane było w niego samego, pośrednio w rodzinę. To, co zaczęło się jako chłopięca zgrywa, z czasem stało się grą na serio i przeznaczeniem, z którego nie zdołał się już wywikłać.

Wrodzona większa wrażliwość sztucznie podsycana, pozycja wybijającego się młodego poety, sprawiły, że Wojaczek uzyskał status zbuntowanego artysty obracającego się na pograniczu choroby psychicznej. Nie godząc się na żaden z dostępnych światów, postanowił stworzyć sobie swój własny.

W wierszu na Nowy Rok 1970 napisał m.in.

> Rok łagodnego światła
>
> Wzrok zdolny cieszyć się
>
> Słuch cierpliwy i chłonny
>
> Głos jedynego Boga
>
> Dłoń kochanej kobiety

....

Chleb z zasłużonej mąki

Schron bezpiecznego domu

Gość poproszony w dom

...

Noc spokojna

Sen co przynosi sny

Sny a nie koszmary

Świt nieokrutny

Strach opanowany

Gest odmierzony

Puls równy

...

> Śmiech niehisteryczny
>
> Smak subtelny
>
> …
>
> Mróz nieuciążliwy
>
> Piec ciepły
>
> Łyk dobrej wódki
>
> Woń róży
>
> …
>
> Cel wytyczony
>
> śmierć pobożna
>
> Nie dla mnie.

Liczyć chciał tylko na siebie, na swoje ciało i na swój organizm. Do podstawowych desygnatów wcześnie wziął śmierć obok poezji, miłości i ojczyzny, które zresztą ambiwalentnie się u

niego łączą. Pragnąc siebie potwierdzić, poeta zadaje sobie autentyczny ból. Gnębi go depresja. Miewa kaca, wymiotuje. Te wszystkie stany umyślnie sprowadzone na siebie stały się w końcu kontrolowanym szaleństwem. Wojaczek ćwiczy wolę przeciwko sobie, sam padnie jej ofiarą. Gotowość samozniszczenia obnosi wśród znajomych okaleczając się. Grał z całą świadomością tworząc legendę i chciał, by świat mu się przyglądał z uwagą. Sztucznie głoduje, w próbie uratowania wzniosłości poezji poświęca jej kobietę, brnie przez wszystkie upadki fizyczne i moralne, destrukcję i poniżenie. A to wszystko zdawał się robić z lęku o zatratę tożsamości, gdyż ważna dlań była jedynie własna inność.

Atakowanie, jak byśmy powiedzieli, wszystkich świętości było dlań badaniem ludzkiej wytrzymałości. Roił sobie, że właśnie upadek i poniżenie prowadzą do oczyszczenia. Otoczenie znało go jako osobnika psychicznie obolałego, z kompleksami, niezdolnego do podjęcia normalnej pracy. W Krakowie postawiono mu diagnozę, która go, jego zdaniem, piętnowała. Określono go jako psychopatę z tendencjami schizofrenicznymi. Spędził pewien okres czasu we wrocławskiej klinice, miał przed samą śmiercią być badany przez wybitnego specjalistę.

Od czasu do czasu miał przebłyski rzeczywistości i robił nieśmiałe próby, by się ratować. W liście do Stefanii Cisek napisał posługuje się cytatem z Kafki: „Weź mnie, weź mnie,

splot błazeństwa i bólu”. Ale także rozumiał, że jest już dla niego za późno:

> Zjechałem tu nie w porę
>
> sezon jeszcze nie otwarty
>
> a już miejscowi mówią
>
> że tu się nic nie stanie.

Złakniony sukcesu został przez krytyka nazbyt wysoko postawiony, tak że jego chorobliwy egoizm przestał przyjmować przestrogi, nastawiony już tylko na zwycięstwa. Dopiero po zgonie Wojaczka Karpowicz ostrzegał, że śmierć poznajemy nie umierając, lecz żyjąc. Ale było za późno.

A przecież poeta sygnalizował swoje chorobliwe zauroczenie śmiercią w wielu kompozycjach. Tak np. kończy wiersz „List do nieznanego poety” , wiersz jak najbardziej autobiograficzny.

> Pańską twierdzą i wygnaniem jest ten pokój
>
> Wieź ponad dobrem złem i społeczeństwem

> Czy pan nigdy nie próbuje z niego uciec?
>
> Z rozpaczliwych czterech kątów Piąty: śmierć

Kilka lat sukcesu mieszanego z rozpasaniem zdobyło mu legendę ochoczo przyjmowaną przez młodych. Krytycy podzielili się na hagiografów i oskarżycieli. Dostrzegali jego wielki egocentryzm, ale i zadziwiające widzenie świata „jakby od samego środka bebechów psychicznych"; zdumiewano się, że ze zwykłych słów potrafił pokazać świat w zupełnie innych kolorach, że z organicznego plugastwa zrobił coś urzekającego, nie rozumiano, jak tak młody człowiek mógł widzieć rzeczy ekstremalne, brzydotę wyrażał w rygorach stylistyki i mistrzowsko sprawnego języka. Te cechy zauważył H.Worcell, który prezesował wrocławskim pisarzom. Do największych promotorów Wojaczka, oprócz już wymienionego Tymoteusza Karpowicza, należał Bogusław Kierc, a pozytywnie wyraża się o nim m.in. Jacek Łukasiewicz, który pisząc po dwudziestu latach nazwał jego poezję „rygorystyczną i swoiście pełną". Z tym chętnie się zgodzę. Trudniej natomiast przychylić się do jego opinii, że „czyta się te wiersze z radością". Zdumiewający to dla mnie kwalifikator uczucia powstającego przy lekturze tych osobliwych mimo wszystko wierszy.

W mojej opinii, prestidigitatorskie zręczności Karpowicza i

Kierca niewiele czytelnikowi pomagają. Erudycyjne fajerwerki nie oświetlają zadowalająca dokonań Wojaczka, usiłują go raczej dowartościować przez wymyślne asocjacje i całą ekwilibrystykę domysłów. W ostatecznym rozrachunku te wszystkie strategie nie potrafiły go, tak sądzę, z wydumania wynieść na jakiś grunt obiektywnie rozpoznawalny. Wiemy, że ogromnie pracował nad swoimi tekstami, że miał dziesiątki wersji, że niedługo przed śmiercią oświadczył, że jego dzieło poetyckie jest kompletne. Niemniej wątpliwe jest dla mnie, czy wygrał stawkę o poezję, choć spalił się w jej służbie.

Wielu czytelników widzi w tej poezji głównie figury stylistyczne, chęć epatowania obscenami, pozę eschatologiczną. Anonimowy recenzent Wydawnictwa Literackiego z Krakowa odrzucając proponowany przez Wojaczka do druku zestaw wierszy napisał m.in.:

> Są to wiersze dla socjologa raczej niż dla czytelników. Jeżeli nawet istnieje środowisko dla odbioru tego rodzaju 'poezji', należy otoczyć je opieką i wychowywać. Jestem przeciwko nobilitowaniu chuligańskiej histerii do rangi sztuki... Obsesje były, są i będą motorem wielu utworów, nie można jednak tolerować wulgarności i szokowania ekshibicjonizmem.

Inny krytyk pisząc o obsesyjnych motywach w końcu załamuje

ręce:

> Ale od tych wszystkich kroczy, jelit, odbytów, glist, wymiotów, penisów aż tu gęsto.

Czy więc sama sprawność formalna może ratować jego twórczość? Czy taka krańcowość uprawnia do miejsca w literaturze? Czy te głodówki, pijane ekscesy, wyskakiwanie przez szybę, kaleczenie się umyślne otrzymały ekwiwalenty słowne w myśl, że życie to sztuka? Stąd to *votum separatum* krakowskiego krytyka. Tragiczne więc nieporozumienie, nieszczęśliwa aberracja, koszmar, obłęd, a mniej sztuka.

Nie obywa się przy tym bez paradoksów. Większość krytyków podnosi cnotę pisarską Wojaczka, tj. bezpośredniość wyrazu, autentyczność, szczerość, spontaniczność. Niczego podobnego jednak w niej nie znajdujemy. Materiał jego jest wybitnie literacki i przeszedł przez żmudną obróbkę fachowca.

Życie jawiło mu się jako maska śmierci, z którą najpierw igrał, jak Don Juan ze statuą komentatora, a kiedy ona w końcu rzeczywiście zapukała do jego bramy, wpuścił ją, bo już mu honor nie pozwalał wycofać się ze sprawy. Wojaczek zapowiedziawszy swoje odejście, czekał na odpowiedni moment, aby targać się na swoje życie, i to nie w chwili nieopanowania,

ale w chwili wyważonej, i konsekwentnie zamiar swój zrealizował. Odratowany, gdy próbował się powiesić (w jednym z wczesnych wierszy szukał swojej szubienicy), otruł się środkami nasennymi, których pełny spis pozostawił na skrawku papieru donoszącym o samobójczej śmierci Borowskiego. Ta śmierć miała go zniszczyć, ale także unieśmiertelnić.

Mniej heroicznie natomiast brzmi czterowiersz Rimbauda zakreślony w ramkę, z adnotacją Wojaczka na marginesie „dobre jako przestroga", znaleziony w egzemplarzu jego lektury:

> Młodości próżniaczej
>
> w jarzmo nikt nie chwycił,
>
> przez łatwość wybaczeń
>
> zmarnowałem życie.

Uparta choroba prowadziła Wojaczka do samozagłady. Mając niepospolity dar słowa szukał w literaturze, w poezji ratunku dla siebie. Posiadał często klarowną świadomość inności, potrafił jednak doceniać wartości przez siebie z różną gwałtownością negowane i chętnie z nich korzystał.

Brutalne wyuzdanie i częsty sadyzm wskazują, że padł ofiarą swoich ciemnych demonów: wzywał je, dał im się opętać, a wciągnięty do ostatecznej rozgrywki, w końcu jej nie sprostał. Pozostanie on dla nas niepojętym, zdumiewającym znakiem.